ŚRODY LITERACKIE

Nr 6

STYCZEŃ 1937.

ŚRODY LITERACKIE

KWARTALNIK

POD REDAKCJĄ TEODORA BUJNICKIEGO

NAKŁADEM RADY WILEŃSKICH ZRZESZEŃ ARTYSTYCZNYCH
Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WILNO, OSTROBRAMSKA 9
ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH

TREŚĆ NUMERU:

CENA NINIEJSZEGO ZESZYTU 1 ZŁOTY

ŚRODY LITERACKIE

KWARTALNIK

STYCZEŃ Nr. 6 1937

JÓZEF WIERZYŃSKI.

FERDYNAND RUSZCZYC.

(Inscenizacje).

„La parole n'est pas son language“ — M-me de Stael.

Mam pisać o Ruszczycu. Trudno, czy zdołam... boli... Ale i myśleć o niczem innym nie potrafię. Cios zbyt silny, strata zbyt wielka! Rośliśmy razem od dziecka, nawykłem patrzyć na Niego zdołu, jak na wzór mocy, siły, potęgi twórczej, — nawykłem mieć weń wiarę szukać oparcia. „Ptak małego lotu“ — cieszyłem się, mogąc podziwiać zbliska, jak potężne skrzydła jego twórczości cięły przestworza, wznosząc Go coraz wyżej i podnosząc chętnych, a dalszych horyzontów spragnionych... ad astra! — I nagle zabrakło oparcia, zabrakło pewności tej siły, spokoju, którym darzy wiara w potęgę. Żal, ból nieutulony rozsądkiem żadnym, jak po zgonie Marszałka!... Odszedł spocząć na Bohdanowskiem uroczysku cmentarnem, legł u boku ojca, przy najbliższej powiernicy najgłębszych tajni twórczych wielkiego Syna, tak Mu duchem bliskiej matce.

— A my, „Jego ludzie“, my dawniej „śpiące“, które do życia prawdziwego z wegetacji obudził, piękno jego ukazując, my pozostali zgnębieni, przybici, samotni? Gdy wielkie padają dęby, druzgocą i łamią u stóp swych rosnące drzewiny i krzewy. Jeszcze żyją złamane, przygniecione; może się nawet podniosą do dalszego żywota, lecz już ze śladami złamania, z bliznami od runięcia dębu pozostałemi, których już nic nie wygładzi.

— Odszedł, niemasz Go... Niema Ruszczyca... Możeż to być? Nie, przenigdy nie! Nie może to być, by nas w udręczeniu takiem, w takiem cierpieniu opuścił. Nigdy wszak tego nie było, by kogo w biedzie odszedł, mocą swą nie wsparł... i teraz też nie, nie opuścił! Tam, na cmentarnem uroczysku Ruszczyców w Bohdanowie, w domowinie z desek sosnowych zbitej — zwłoki Jego, — a przecież „My dla Ducha trumn nie mamy“, a Jego „Duch jak ognia słup!“ — W jasność

ognia tego zapatrzony, może potrafię oderwać myśl i serce od tej nowej na Bohdanowskim cmentarzu mogiły, Jego mogiły, i opowiedzieć coś niecoś z tego, co danem mi było widzieć zbliska, na własne oczy. — „Ja tam był, w płomieniach stał“, w płomieniach, z których blasku wyczarowywał Ruszczyc potężnym swym czynem twórczym uroczą Lillę Wenedę (maj i czerwiec roku 1909).

Lato roku 1909 było w Wilnie słoneczne, upalne. Gaj po-bernardyński nad łukiem Wilejki rozpostarty, w szemranie jej zasłuchany, czarował przepychem swych liczniejszych niż dzisiaj olbrzymów-olch, jesionów, dębów, swym dziwnym jakimś, naprawdę niewysłowionym, t. j., nie dającym się w słowa ująć urokiem, iście wileńskim, takim zdawałoby się niepozornym, nie imponującym, natomiast jakże pociącym, zewsząd ogarniającym, wnikliwym, tajemnym, zagarniającym w swe posiadanie serdeczne na wieki. I choćbyś wszystkie cuda świata oglądał, to cichy ten zachwyt, dla tej, co jest jak zdrowie, której zapomnieć nie można, gdyż rozłąka podnosi tylko jej wartość, a piękno przez pryzmat tęsknoty olbrzymieje, — zachwyt ten nigdy cię nie opuści, jeżeliś człowiekiem, jeśli masz serce...

— Poczesne miejsce w tym gaju zajmował przed kilku już laty wzniesiony „teatr letni“ „z drzewa, lecz... nie podmurowany“ nawet „zdaleka się świeciły ściany“... z niepoczerniałych jeszcze od czasu desek. Tu, w tym budyneczku, beż żadnych najprymitywniejszych nawet urządzeń z dziedziny techniki teatralnej, na tej malutkiej scence, co to nawet nie „dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż“ mierzyła, miała się jawić wizja Juljuszowa, miały się ucieleśnić“ mary, których nie wołał — przyszły same, które przyprowadziła ze sobą biała „Lilla Weneda“... Ujrzał je wieszcz „na Alp szczycie“, zaś Ruszczyc odważył się sprowadzić do drewnianej gontyny na brzeg Wilejki, do gaju u stóp gór Bekiesza i Trzech Krzyży. Zaiste wielkiej trzeba było odwagi, zuchwalstwa wprost, by tak strasznie pod względem scenicznym trudny utwór, jak Lilla Weneda podjąć się wystawić w takim teatrzyku! Podjął się, mierzył siły na zamiary... Czar ducha Juljuszowego ogarnął Go, tchnął weń ukochanie tragicznych postaci wodzów poetycznego narodu Wenedów, urzekł Go pieśnią harfy Derwidowej... Niech na jej dźwięk pierzchną roty potężnego najeźdzcy, „a kiedy śpiewa CHÓR drży serce wroga“. Niech się wezmą za bary w walce na śmierć i życie dobro Lilli białej i zło okrutnej Gwinony, niech się toczy krwawy bój... w gaju nad Wilejką... w drewnianej gontynie... „Przypominam krwawe łuny i jęk dzwonów i pioruny, i rzeź krwawą, krwawe rzeki... ja tam był, przy trupach stał...“ Zniknęła rzeczywistość dnia dzisiej-

szego, z Ruszczycowego ducha, ciałem tylko był obecny w swem otoczeniu, a „Duch, jak ognia słup" — z marami, których nie wołał — przyszły i do niego same przyprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda.

— Tylko takiem umiłowaniem można sobie wytłumaczyć i tę odwagę, i tę pracę nad ucieleśnieniem tego, „co Mu w duszy grało i co w swoich widział snach" twórczych. „Kto kocha — widzieć chce choć cień postaci... Bo Miłość strachu nie zna i jest śmiała... I wszelka miłość bez wcielenia Jest upiorowem myśleniem myślenia"...

— Skala rozpięcia tej pracy — iście olbrzymia: od samej koncepcji plastycznego ujęcia dzieła Słowackiego, czyli podzielenia na obrazy i tych obrazów kompozycji, aż do najdrobniejszego szczególiku!... Tak, albowiem każdy z aktorów otrzymał rysunek swego kostjumu przez Ruszczyca w kolorach wykonany, z wskazaniem materjału, a jak dla pań, to nawet i z próbkami naszyć czy też lamowań do rysunku przypiętemi, z podaniem cen! Cóż to — pedantyzm? Nie, tylko zabezpieczenie się przed jakimś pomysłem indywidualnym której z pań-aktorek, pomysłem mogącym zepsuć całą harmonję kostjumu poszczególnego, a więc i ogólną obrazu, którego przecie jedną z plam barwnych stanowił. Szczególnie wspaniały był kostjum Gwinony (H. Szymańska) i Rozy Wenedy (Podgórska) w kolorach czarnym z krwawym i złotem, Lecha (J. Popławski) w pasie-pancerzu mosiężnemi guzami nabijanym i w hełmie z krętymi na nim rogami, jak i na hełmach Lelum i Polelum (Dybizbański i W. Nowakowski). A dekoracje? Malowali je w ścisłem tego słowa znaczeniu, t. j., wykonywali technicznie, malarze „teatralni" w wolnych chwilach od zajęć swych fachowych jako malarzy pokojowych, podług węglowego szkicu Ruszczyca na samem płótnie dekoracji, często nie zdając sobie sprawy z tego, co malują...

— Nie obeszło się i bez epizodów zabawnych. Stary malarz teatralny (i pokojowy) przychodzi do Pani Nuny Młodziejowskiej, kierowniczki teatru, srodze zakłopotany i zaniepokojony lasem, który mu Pan Ruszczyc kazał malować! „Tyle lat jestem dekoratorem (sic!) przy teatrze! Czy ja nie wiem, jak trzeba malować las? Proszę Pani Dyrektorki, będzie skandal!..." Pani Nuna uspokoiła go, że wszystko będzie dobrze, jeżeli namaluje tak, jak p. Ruszczyc każe. Jakże się Ruszczyc ucieszył z tych niepokojów biednego malarza, gdy o tej „skardze" Pani Nuna Mu opowiedziała, jak go polubił za ten niepokój właśnie, za ten cierń, który bolał biednego „dekoratora" ze względu na istotę rzeczy, za tę nieobojętność dla sztuki! Gdy wreszcie na próbie generalnej „stanął" las, który dotąd „leżał", bo był malowany

na podłodze refektarza dzisiejszego klasztoru pp. Bernardynek (ul. Św. Anny 13), — na widowni rozległ się głos zdumienia pełny: „toż ja nie wiedział, co malował!“ — i od tego czasu już ze skargami na Ruszczyca nie chodził. A jak powstawały same projekty tych zaiste wspaniałych obrazów-dekoracyj? Tak, jak cała ta olbrzymia praca i koncepcyjna i realizatorska, powiedziałbym, jak zresztą mówili wszyscy: „bawiący się“ Ruszczyc bawi się w teatr. I rzeczywiście to tak wyglądało. Przechodząc spacerem tę, lub inną ulicą wstępowaliśmy to tam, gdzie malowano las, na jaki kwadrans najwyżej, to po wspomniane próbki do „Barysznika“ czy też „Sory Kłok“ przy ul. Niemieckiej, tak sobie, „en passant“. Nie więcej też widać było wysiłku i przy rysowaniu tych projektów-pasteli najczęściej przy wieczornej herbacie w rozmowie z obecnymi, a ku zgorszeniu „Mamy“, Pani Ruszczycowej, gdyż do tonowania kredek pastelowych Syn używał... palca zamiast specjalnego ołówka zamszowego. Tę „łatwość“ w pracy tak trudnej mogę sobie wytłumaczyć tem tylko, że Ruszczyc zanim przystąpił do realizowania swych pomysłów, wykończał je w myśli i wyobraźni, obmyślał i widział w najdrobniejszych szczegółach. Wtenczas to odbywała się w nim ta praca twórcza, ten „trudów trud“, lecz tego nie widział nikt. Przed nikim nie zwierzał się ze swych pomysłów i zamiarów, chyba czasami przed Matką. Gdy dzieło „w duchu“ było skończone, przystępował do ucieleśnienia go. A że technikę miał wprost niezrównaną, (rysował od najwcześniejszego dzieciństwa, zdaje mi się, że wpierw zaczął rysować niż pisać; w ciągu całego gimnazjum w Mińsku najsumienniej uczęszczał na lekcje rysunków, chociaż były nieobowiązujące i poza rozkładem) więc samo wykonywanie naprawdę robiło wrażenie zabawy. Mówię o Jego inscenizacjach, nie zaś o obrazach stalugowych. Jakim był z paletą przed płótnem — nie wiem, chociaż, gdy powstawało „Nec mergitur“, mieszkaliśmy razem. Widziałem powstawanie olejnego szkicu do „Krewa“ w zwaliskach zamku Krewskiego w styczniu r. 1899. W słoneczny mroźny dzień siedzieliśmy na śniegu w solidne futra okutani, coś Mu czytałem. Pracował spokojnie, uśmiechnięty, zadowolony... czy z pięknego dnia, czy z pracy? I z tego to pogodnego nastroju przy szkicu — narodziło się groźne, ponure nieomal „Krewo“, zakupione potem przez mec. Tadeusza Wróblewskiego w Wilnie. Któż zbadał dusz artystów przepastne krainy? Po raz drugi i również przy szkicu olejnym widziałem Go w „Kalwarji“, gdy gościł u mnie pod Borysowem (Mińskie), w licznym towarzystwie, jak malując dowcipkował z panienkami, przyglądającemi się pracy „prawdziwego malarza“. To wszystko. Natomiast rysującego widywałem Ruszczyca

często. Przy pracy zawsze bywał wesoły; czasami tylko Jego ciemnoszare oczy, głęboko pod wspaniale sklepionym czołem osadzone, mocniej świeciły, czasami pionowa zmarszczka zbliżała do siebie brwi, zdradzając większe natężenie, skupienie myśli i woli...

— Tak też było i przy wystawianiu Lilli Wenedy. Wszystkim się zdawało, że „Ruszczyc się bawi", tylko flirtuje, bywa „w towarzystwie", na wycieczkach i t. p. A jednak praca postępowała chyżo! Nadszedł wreszcie dzień 12-ty czerwca roku 1909, dzień premjery! Oto i programy! Takich napewno żaden teatr nie miał! Piórkowy rysunek Ruszczyca na okładce wyobrażał profilową sylwetkę głowy Słowackiego w obramieniu spadających, ku dołowi się rozszerzając, gałązek iglastych, jakby modrzewiowych i liściastych, wśród nich zrzadka kwiaty, może róże, i rok 1809 — 1849. Na arkuszu wewnętrznym, — wyjątek z listu „Do Autora Irydyona": Wstań, wstań mój Endymionie, tajemniczej Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazyi, zielony sosnami teatr..." Na ostatniej karcie — „lecące po niebie łabędzie" też rysunek piórkiem. W prawym rogu dolnym litery: „F. R." Papier — welin i kilkadziesiąt egzemplarzy na czerpanym, czcionki, układ — wszystko to pod Jego osobistem kierownictwem. Czyż taki program nie jest już sam w sobie dziełem sztuki?!

— Lecz chodźmy! Nowy gaj fantazji czeka! Wśród aktorów — podniecenie, wzruszenie, pokrywane robieniem humoru... Nikt weń nie wierzy. Ruszczyc uwija się wśród nich. Nikogo nie puści na scenę, aż sam obejrzy. Czuje każdy, że dzieje się coś wielkiego, że się tworzy historja... Wreszcie pada rozkaz: „kurtyna!" Widownia przepełniona. Przyszli i przyjechali z okolic Wilna nawet tacy, co nigdy prawie w teatrze nie bywali. — I poszły po sobie obrazy jeden od drugiego wspanialszy, potężniejszy, bardziej przejmujący... „Tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytych"... i rozbrzmiała w urocznie pięknem słowie Juljuszowem, na wyczarowanem przez Ruszczyca tle dekoracyj „powieść wierna i naga, jaka się posągowym nieszczęściom należy..." A trzeba przecie pamiętać, że działo się to na pięć lat przed Wielką Wojną, że nikomu się nawet nie śniło o niezależnem państwie polskiem, o Najjaśniejszej Rzeczy Pospolitej!... Łatwo zrozumieć uczucia widza — Polaka. Wenedzi, „lud wymordowany" — wszak to my... Harfa cudotwórcza — to nasza literatura, to nasza pieśń, wołająca „nowych na zemstę rycerzy!"...

Premjera skończyła się o godzinie 2-ej i 1/2! Już o wschodzie słońca! Wrażenia? Bardzo różne... w zależności od stopnia przygotowania literackiego i artystycznego widza, które, powiedzmy szczerze,

było poprostu żadne, a przecie rzecz tak literacko, jak i malarsko była trudna do ujęcia. Śmiało rzec można, że pełnię wrażenia odniosły jednostki, ci nieliczni przygotowani, z rozwiniętem poczuciem piękna i jego potrzebą... Reszta milczała przeważnie. Byli i tacy, co się gniewali, że tak późno się skończyło!... Nie było tylko obojętnych. Każdy nie mógł się uporać ze sobą samym, chciał dojść do jakiegoś wniosku, odpowiedzieć na dręczące go pytania i wątpliwości, które tak obficie posypały się ze sceny, i nie mógł, nie rozumiał... Stąd troska, niepokój, praca myśli i uczucia!... Otóż to!! To właśnie, o co Ruszczycowi chodziło!... Wytrącić z bezwładu duchowego, z kwietyzmu...

— Cel został osiągnięty, pierwszy krok zrobiony. Drugi, zdawało się był całkiem inny — dobroczynny bazar!

— Bazar dobroczynny! Czy może być coś bardziej banalnego, czy może być większa nuda konwenansu towarzyskiego? Ruszczyc dekoruje Salę Miejską (ul. Ostrobramska 5)! Dobroczynne panie zwróciły się doń z prośbą: „Pan nam pomoże! Urządzamy bazar... „Świetne, co? Ruszczyc „do pracy" dobroczynnym paniom. Nie odmówił. Nie tylko ze względów towarzyskich, grzecznościowych. Postanowił wykorzystać „dobroczynność" pań dla swoich celów. Wszak „Piękno jest, aby zachwycało do pracy, Praca, by się zmartwychwstało". Zachwycić pięknem, pobudzić do pracy ducha! Zawrzało, nie tylko w Sali Miejskiej, lecz i w warsztatach całego miasta. Najbardziej w fabrykach kwiatów sztucznych. Bazar, papierowe kwiaty! Przecie są to rzeczy straszne, przecie już w samem założeniu tkwi antyteza piękna—sztuczność, imitacja. Tak, to prawda, lecz prawdą jest również i to, że za dotknięciem czarodziejskiej różdżki artysty, kamień, glina, spiż w bóstwo się zmienia; kawał płótna i trochę farb nabiera takiej siły, przyciągającej, że tłumy łaknące karmi duchowej śpieszą doń ze stron najdalszych. W dniu otwarcia „Bazaru" naprawdę „zdumieli się" nawet „ojcowie miasta" i dziecięcia swego nie poznali. Zniknęły ściany, filary, sufit nawet w powodzi kwiatów. Jakich? Konia z rzędem temu botanikowi, któryby potrafił określić je naukowo. Nawet w czarodziejskiej florze podzwrotnikowej tak wspaniałychby się nie znalazło! Cudną symfonją zharmonizowanych barw spływały spod sufitu olbrzymie girlandy na ściany, na filary i tam oplatały stojące pod nimi kioski przeróżnych pomysłów i kształtów od klasycznych, na kolumnach wspartych poczynając, a na chacie chłopskiej pod słomianą strzechą kończąc i łącząc się z kwiatami żywemi wewnatrz kiosków w postaci naprawdę nadobnych Wilnianek naszych, które, posłuszne woli Mistrza, no i lustru, pomimo września (1909) przywdziały letnie, powiewne jasne

i barwne szatki, kapelusze słomkowe i batystowe. „Wszędzie już jesień, a u mnie w Sali Miejskiej bzy i róże, i jaśminy kwitną“ żartował Ten, którego wolą i potęgą twórczą jesień na wiosnę się zmieniła. Zadowolenie było ogólne. Dobroczynne panie — z obficie zbieranej gotówki od tłumnie napływającej publiczności, urzeczonej czarem tak przeobrażonej, a przecie tak dobrze znanej sobie Sali. Zadowolone były i panienki w kioskach, bo wiedziały, że w tym przepychu kwiatów i same są kwiatami, na których zachwycone oczy najdłużej się zatrzymywały. Były zadowolone ze swego powodzenia. Zadowolona była i publiczność nie tylko z przeróżnych imprez bazarowych, lecz i z tej atmosfery subtelnego piękna, jakiem tchnęła cała ta Sala Miejska. Zadowolony był i Ruszczyc, jak gospodarz, ocierający uznojone czoło po szczęśliwym sprzęcie z pól. Uznojony też był rzetelnie, albowiem i przy tej imprezie, jak i przy wystawieniu Lilli Wenedy, nie opuścił najdrobniejszego szczegółu, od wyboru bibułek na kwiaty poczynając. Najbardziej zadowoleni byli jednak ci, którzy znaleźli na tym „Bazarze“ nie zabawę tylko, nie zasiłek dla „swoich“ ochronek, nie zadowolenie własnej próżności, czy ambicji, lecz to, co było treścią ich życia, szczęściem ich, którzy z Carlylem wierzyli, że „niema większego szczęścia nad służenie pięknu“. Żywy obraz Sali Miejskiej dał im to zachwycenie pięknem, obraz z kiosków, z papierowych kwiatów skomponowany. Tak, był to jeden z najpiękniejszych obrazów Ruszczyca.

— 16.XI. 1910, w Teatrze Miejskim wystawia Ruszczyc „Księcia Niezłomnego“ (z Wandą Malinowską, późniejszą Juljuszową Osterwiną) w roli Feniksany, z Adamem Wiślańskim jako Don Fernando. Nie potrzebuję dodawać, że pieczołowitość artystyczna była nie mniejsza niż przy inscenizacji Lilli Wenedy. Do tragedji tej wróci Ruszczyc raz jeszcze, wystawiając ją już na podwórcu Skargi U. S. B., przy udziale swych uczni z Wydziału Sztuki.

— 2.II. 1911, w teatrze „Lutnia“ dał Ruszczyc Wilnu widowisko o banalnej nazwie żywych obrazów w treści swej artystycznej tak wzniosłe, tak zachwycające, że po dzień dzisiejszy ci, którzy je oglądali, trwają pod urokiem wieczoru z przed dwudziestu sześciu lat! Ten również niemalowany obraz Ruszczyca nosił nazwę „Sny o Pięknie“. Snów tych było osiem, — osiem „żywych obrazów“ odtworzonych z arcydzieł malarstwa angielskiego, przeważnie z czasu prerafaelitów. Obraz I-y z Waltera Crane'a „Porwanie Prozerpiny“ był jakby przygotowaniem do następnych i nosił tytuł „W Świat Piękna“. Obraz II-gi „Młodość u stóp Piękna“ — podług obrazu Burne Jones'a „Król Cophetua“ jak i III-ci, „Miłość prowadzi“ oraz VII-y „Złote Schody“

tegoż malarza. V-y i VI-y „Łódź Poety“ i „Sen“ (Dantego) pendzla Dante-Gabriela Rossetti'ego. Obraz IV-y — podług H. Holliday'a był zatytułowany „Ona“ i wreszcie VIII-y, — „Ostatnia struna“ podług obrazu Watts'a „Nadzieja“ — postać dziewczęca w szare owinięta gazy na półkuli globu ziemskiego siedząca, z oczami zawiązanemi, z archaiczną lirą w ręku, na której jedna już tylko pozostała struna!... Pomimo to, że sala teatralna zamieniła się w salon (uprzątnięto rzędy krzeseł) do „cercle'u“, że publiczność składała się prawie wyłącznie z sfer t. z. „wyższych“, które przecie zwiedziły wszystkie osobliwości jeżeli już nie świata, to przynajmniej Europy i jeżeli raczyły zstąpić ze swych wyżyn, to nie po to przecie, żeby chciały coś jeszcze zobaczyć i to do tego u siebie, w Wilnie, lecz tylko ze względu na nazwiska patronujące temu wieczorowi, byłoby niegrzecznie względem Pani X, Pani Y, Pani Z nie pokazać się, nie przywitać i t. p. Pomimo takiej publiczności, która jeżeli nawet nie była znudzona, lub zblazowana naprawdę, to uważała za „bon ton“ taką udawać, pomimo to, powtarzam, słyszało się nawet tym „bon tonem“ nieopanowane okrzyki zachwytu i oklaski, zmuszające do ukazania obrazu raz jeszcze, chociażby na chwilę tylko. Tryumf artysty był większy może, niż przy Lilli Wenedzie. Tam był teatr, była „publiczność“ przygodna, różnorodna, tutaj były „sfery“, high life, tam był materiał ludzki chociaż nie przygotowany do odbierania wrażeń zbyt może dla siebie górnych, lecz ich żądny, zapalny, — tutaj, — albo zawilgły przeróżnemi konwenansami, albo też wprost spróchniały. I oto nawilgłe drzewo zajęło się płomieniem, próchno zaświeciło chociaż na chwilę. Ożywczy duch piękna tchnie, gdzie chce, jest po to, „by się z martwych wstało“, by z wegetawania do życia prawdziwego, pełnego, do życia „z ducha i dla ducha“ pobudził. Komu los dał prześnić w ten cudny wieczór „Sny o Pięknie“. ten musiał przyjść do wniosku, że „nie samym chlebem żywie człowiek“, że są w nim walory, dotąd mu nieznane, tak wielkie i potężne, że cały świat materjalny niczem wobec nich. „Piękno jest po to, by zachwycało... do pracy“!

Oprócz tych przez ćwierćwiecze całe niezatartych wspomnień pozostał mi z iście Ruszczycowskim przepychem i smakiem skomponowany program tego wieczoru. Na okładce — podobizna żony Rossettiego, wewnątrz motto: „Piękno! Tyś wieczne... Pokolenia ludzkie wyrastają, rozkwitają bujnym kwiatem życia, by — nadłamane — paść, a Ty — wieczne, jak słońce, jak niebo roztaczasz nad niemi uśmiech niewzruszonej swej potęgi“.

„Wieczór bajek i zabawek“ dnia 14 i 15 stycznia 1912 oprócz

celu filantropijnego miał zadanie ukryte: rozbudzenie inicjatywy w szerszych kołach publiczności wileńskiej i pobudzenie do wysiłku twórczego. Panie i panienki miały ofiarować na ten wieczór dla biednych dzieci lalki i zabawki własnego pomysłu i wykonania. Godłem była „Królewna Bajka“ w koronie z gwiazd, kryjąca się w olbrzymich skrzydłach i osłaniająca troskliwie dłonią jednej ręki świeczkę choinkową, trzymaną w drugiej. Tło — głęboki szafir niebieski. Rysunek oczywiście Ruszczyca.

— W następnym roku 1913-ym, dnia 13-go stycznia, na ten sam cel, co i wieczory poprzednie, t. j. na „Dom Serca Jezusowego“ stworzony i kierowany przez czcigodnego Ks. Lubiańca, dał Ruszczyc w szopie po-cyrkowej na placu Łukiskim, gdzie się wówczas Teatr Polski lokował, — „Wieczór Poezji“, składający się z trzech obrazów: 1) Krasiński — Wstęp do Nieboskiej Komedji w recytacji siedmiu głosów, wśród których podkreślę Knake-Zawadzkiego i Arkawinównę, zakończony chórem. 2) „O czem tu dumać na paryskim bruku“—Ubogi pokoik, muślinowe u okien firanki, o futrynę jednego z nich oparty Adam (Borowski) w dal wpatrzony wylewa w słowach smutku pełnych swój za ojczyzną żal. Za oknami stolica świata w słońcu skąpana, którego blask zalewa pokoik, — lecz w duszy Adamowej mrok: obca to wszak stolica, obce to słońce i niebo, w którym „nawet nadziei nie widzi“. „Biada nam zbiegi...“. Tęsknota za tą, co jest „jak zdrowie“ przesłania mu cały świat, nic go nie cieszy, bo „dumał, myślił o swojej krainie... w której jest trochę szczęścia dla Polaka... kraj lat dziecinnych! Święty i czysty, chociaż ubogi i ciasny“...

— Takim „Szlakiem Tęsknoty“, jak głosił program śliczny, jak i poprzednie: okładka słoneczną barwą, tak przez Ruszczyca ukochaną, objęta i gronostajami bramowana, z królewskiego płaszcza strzęp, wewnątrz złota również lira z dwu skrzydeł do lotu wzniesionych złożona, z pod czterech jej strun spływają sznury pereł, — prowadził autor tego wieczoru słuchacza i widza do okropnego wybuchu rozpaczy w obrazie 3-cim, w „Warszawiance“ pieśni, z opuszczeniem komentarza, w programie (względy cenzuralne), że jest to pieśń z r. 1831-go, roku rozpaczliwej walki o wolność. „Hej, kto Polak—na bagnety! Żyj swobodo! Polsko żyj!“... Dziś, po dwudziestu trzech latach, gdy odtworzę sobie w pamięci te 23 do 27 minut trwania „Warszawianki“— widzę na widowni oczy suchym blaskiem gorączki fosforyzujące, lub też skwapliwie a ukradkiem usuwaną łzą świecące, widzę kurczowo zaciśnięte palce, falujące przyśpieszonym oddechem piersi wśród przerażającej wprost ciszy, zalegającej obszerną szopę po brzegi publicznością wypełnioną.

— Potężne słowo Wyspiańskiego poparła nie mniej mocarna, a jakże subtelna plastyka Ruszczyca. Biały empirowy salonik w dworku na Woli, białe muśliny strojów niewieścich, białe przy oknach firanki, mahonie mebli autentycznych z tego czasu rodem, szpinet pośrodku — to cechy pokoju a na tem tle wydatniej wystąpują barwne plamy mundurów wojskowych, błysk i szczęk oręża — cechy tego, co się za ścianami dworku dzieje — wojny. Punkt kulminacyjny akcji scenicznej, wejście wiarusa i takiż punkt dekoracji, stopniowe nasilanie światła wschodzącego już słońca, rysującego na szybach okien kwiaty mrozu, wzajemnie się dopełniają i łączą się we wrażeniu, nie dającem się usunąć z pamięci.

— Pozostałe inscenizacje Ruszczyca: „Orlątka" i „Balladyny" (Teatr Polski w Warszawie), „Cyda" — nie ustępują wymienionym ani w sile, ani w subtelności i były wykonane z takąż jak i tamte starannością, stanowiąc epokę w rozwoju polskiej sztuki teatralnej.

Wybuch wojny przerwał pracę Ruszczyca nad rozwojem i wzmożeniem życia artystycznego w Wilnie. Okupacja niemiecka zamknęła Go wraz z rodziną na trzy lata w Bohdanowie, w jednym pokoju własnego dworu, udzielonego w drodze łaski przez Ober Kommando. Zniósł i głód, i chłód, i niewygody, nie zeszedł z posterunku bohdanowskiego, po pradziadach odziedziczonego, aż do chwili powołania do nowej pracy twórczej w wolnej już Ojczyźnie, w wolnym już umiłowanem mieście swoim, „by je dźwignąć, uszczęśliwić, by niem cały świat zadziwić". — Z posterunku tego zdjęła Go już nie ziemska władza!...

JÓZEF WIERZYŃSKI.

Wilno, 30.XII.36.

JAN OTRĘBSKI.

O NOWEJ ZMIANIE PISOWNI POLSKIEJ.

Pisownia polska z r. 1918 miała dane po temu, aby utrwalić się na długie lata w społeczeństwie. Świat naukowy z drobnemi wyjątkami uważał ją za dobrą, w łonie praktyków pedagogów potrzeby zmiany nie głoszono, ogół stopniowo do tej pisowni się wdrożył. Uciążliwy był tylko może sposób dzielenia wyrazów w związku z przenoszeniem ich części do następnego wiersza, a oprócz tego raziły niektóre szczegóły, jak np. ten, że należało pisać *zpańska* (razem), ale *z chłopska* (oddzielnie). Całości nikt nie podważał. Aliści na Ogólnopolskim zjeździe polonistów, odbytym w Krakowie w r. 1930, przeszła rezolucja, domagająca się „rewizji zasad poprawnej pisowni i słownika ortograficznego, którаby usunęła oczywiste i rażące sprzeczności i niejasności w obowiązujących (obecnie) prawidłach". Nie wiem, kto z polonistów tę rezolucję sformułował i jak rozumiał jej treść[1], ani też, w jakich warunkach została ona przyjęta. Dość, że rezolucja ta dała bodźca do gruntownej zmiany utrwalającej się pisowni. Pierwszy wyłom zrobiono w roku 1932 z chwilą ukazania się Pisowni polskiej, wyd. IX, w redakcji prof. Kazimierza Nitscha. Mianowicie, po uzyskaniu „zgodnej decyzji" Komisji Językowej „co do szeregu punktów" i po przeprowadzeniu „drobiazgowych narad z paru osobami, bliżej interesującemi się sprawą, m. i. z prof. Rozwadowskim, szczególnie zaś z asystentami dr. A. Obrębską i dr. H. Oesterreicherem,"[2] prof. Nitsch ustalił w owem IX wydaniu Pisowni m. inn. nowy sposób pisania wyrażeń przysłówkowych, polegający na tem, że traktuje się je jako jeden wyraz: *spowodu, chcącniechcąc, (ból) niedowytrzymania, (rzecz) niedowiary, niedopojęcia*... Ten nowo wprowadzony sposób pisania pozostawał widocznie w sprzeczności z poczuciem językowem ogółu, bo wywołał liczne narzekania i protesty. Najdobitniejszy wyraz znalazły one w broszurze W. Doroszewskiego Pisownia polska w ostatnich wydaniach (Warszawa, 1933 roku). Zapewne pod wpływem tej właśnie broszury Ministerstwo W. R. i O. P. koniec końców nie zatwierdziło IX wydania Pisowni polskiej do użytku szkół. Miało to to następstwo, że społeczeństwo polskie wróciło do systemu dwu pisowni, jaki panował u nas przed r. 1918, poczęści

---

[1] Tekst tej rezolucji cytuję, niestety, z drugiej ręki, według akademickiej Pisowni polskiej (Kraków 1936), str. 4.

[2] Por. Język Polski XVII (1932) 97 i n.

bowiem była w dalszem użyciu niezmieniona pisownia z r. 1918, poczęści zaś stosowana była zmieniona pisownia Akademji, ta z r. 1932. Aby zapobiec tak niepożądanemu stanowi rzeczy, Polska Akademja Umiejętności powołała do życia w porozumieniu z Ministerstwem W. R. i O. P. Komitet Ortograficzny, składający się z przedstawicieli szeregu instytucyj, w których skupia się życie kulturalne Polski; do Komitetu tego weszli także przedstawiciele Ministerstwa. Komitet Ortograficzny pracował około 1 1/2 roku, od 21 stycznia 1935 r. do 21 kwietnia 1936 r., odbywszy 6 posiedzeń plenarnych i około 20 komisyjnych. Rezultatem prac Komitetu była, krótko mówiąc, daleko idąca zmiana pisowni polskiej z r. 1918. Właśnie o tych pracach Komitetu, o nowych prawidłach i o sposobie wprowadzenia nowej pisowni w życie niżej opowiem.

* * *

Kiedy przybyłem do Krakowa na pierwsze posiedzenie Komitetu Ortograficznego z ramienia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, dowiedziałem się podczas wizyty u ś. p. prof. J. Rozwadowskiego, który był upatrzony na Przewodniczącego Komitetu (i rzeczywiście nim został), że istnieje zamiar tak zmienić naszą pisownię, aby ją uczynić przydatną dla „mas“, które właśnie teraz „garną się do oświaty i wkraczają w życie publiczne Polski“; dotychczasowa pisownia to — według słów ś. p. Rozwadowskiego — przeszkoda na drodze ku lepszej przyszłości Polski. Zapytałem zaraz, o jakie „masy“ tu chodzi, czy o proletarjat miejski, czy o lud wiejski, którego mowa jest przecież niejednolita: inna pod Warszawą, a inna pod Krakowem, czy Poznaniem... Ś. p. Rozwadowski nie podał mi jednak bliższych szczegółów. Nie dowiedziałem się też, kto pierwszy rzucił hasło o „masach“ — czy rzucono je w Warszawie, w łonie samego Ministerstwa, czy też w Akademji. Niestety, ś. p. Rozwadowski, z którym miałem zamiar podyskutować na temat tego naczelnego hasła, wkrótce zmarł (14.III. 1935) — powiedzmy to odrazu ku wielkiej szkodzie dla przyszłych prac w Komitecie Ortograficznym: posiadając w wysokim stopniu objektywizm i spokój w ocenie poglądów odmiennych, byłby pożądanym rozjemcą w ostrych starciach, jakie się nieraz w łonie Komitetu odbywały.

* * *

Myśl, że Komitet Ortograficzny ma za zadanie gruntownie zmienić naszą pisownię, napełniała mię niepokojem. Obawiałem się, że nowa pisownia nie przyniesie pożytku ani „masom“, ani nikomu innemu, stać

się zaś może czynnikiem dezorganizacji życia kulturalnego w Polsce. Oto jakie myśli przebiegały przez mą głowę.

Przystosować pisownię do potrzeb „mas“... piękne to hasło! Stają mi właśnie w pamięci czasy mego pobytu na wsi niemieckiej w czasie wojny. Wypadało nieraz czytać gryzmoły wieśniaków tamtejszych — ludzi, którzy przeszli świetną szkołę niemiecką, a którzy przecież później wyszli z wprawy pisania wogóle, nie mówiąc już o pisaniu poprawnem. Cóż pomoże jakakolwiek zmiana pisowni, choćby nie wiedzieć jak ją ułatwiająca, kiedy te „masy“ ludu nie mają ani sposobności, ani czasu posługiwania się piórem..! Zresztą „masy“ stosują tak w mowie ustnej, jak na piśmie swój dialekt, z r ó ż n i c z k o w a n y s t o s o w n i e d o o k o l i c y. Trzeba więc najpierw zmienić warunki życia „mas“, zaszczepić im język literacki, przyjrzeć się, jaką postać ten język przybierze, i wtedy dopiero zakrzątnąć się około nowej pisowni. Kiedy to nastąpi?

Co się znów tyczy warstwy górnej, tej, którą obejmujemy zazwyczaj nazwą „społeczeństwa“, to nie jest ona do zmiany pisowni psychicznie przygotowana. Głosów, wołających o taką zmianę, nie słychać. Bo głos na Zjeździe polonistów żadnego echa w społeczeństwie nie znalazł. Co innego czasy z przed r. 1918, kiedy społeczeństwo wprost roznamiętniało się sporami o pisownię i kiedy doszło nawet do podziału na dwa obozy: zwolenników Akademji i kryńszczyków. Tymczasem teraz sprawa ma się tak, że społeczeństwo zmianą pisowni będzie raczej zaskoczone, choć podstawowym warunkiem powodzenia jakiejkolwiek reformy jest, aby jej pragnęło samo społeczeństwo, powiedzmy ściślej, ogół piszących.

Zreszą, niedość jest chcieć zmiany — trzeba zgóry wiedzieć, co ma być zmienione, przynajmniej w przybliżeniu. Czy projekty zmian kto poważnie podawał, czy były one dyskutowane? Podczas gdy przed r. 1918 każdy z nas mniej więcej orjentował się w tem, o co toczą się spory ortograficzne i czego się trzymać (joty czy *y* *i* i t. d.), teraz mogło to być wiadome jedynie wtajemniczonym — ogół interesowały tylko drobne szczegóły: czy nie należałoby ujednostajnić pisowni wyrażeń *zpańska* i *z chłopska*, jak pisać *triumf*..., bo do sprawy przenoszenia wyrazów i tak nie przywiązywaliśmy wielkiej wagi, traktując ją dość liberalnie, każdy trochę po swojemu.

Ktokolwiek zastanowił się nad naszą dotychczasową pisownią, nad jej zaletami i brakami, dojść musiał do wniosku, że nie dojrzała ona jeszcze do zmian racjonalnych. Poprostu dlatego, że niemasz tu ani jednego ważnego punktu spornego, któryby można było rozstrzygnąć

w sposób prosty. Trzeba przytem wiedzieć, że te punkty sporne nie są to naogół sprawy czysto ortograficzne, lecz także jednocześnie językowe. Spory o końcówki narzędnika i miejscownika liczby pojedyńczej oraz narzędnika liczby mnogiej zaimków i przymiotników, o to, czy pisać *tem dobrem dzieckiem, o tem dobrem dziecku, temi dobremi kobietami, końmi,* czy też *tym dobrym dzieckiem, o tym dobrym dziecku, tymi dobrymi kobietami, końmi,* pochodzą stąd, że Polacy niejednakowo te końcówki wymawiają, a gramatycy nie wiedzą dobrze, które z brzmień ze stanowiska języka literackiego uznać za prawidłowe. Naszych kwestyj ortograficznych nie można porównywać np. z rosyjskiemi z czasów przed ostatnią zmianą, dokonaną podczas rewolucji. W Rosji wiedziano powszechnie, co stanowi punkt sporny i jakie może być rozstrzygnięcie; sporne było tylko to, czy wogóle zmieniać. Tymczasem u nas sprawa ma się inaczej. Ten i ów życzyłby sobie zmian, upraszczających pisownię, ale jakże tu upraszczać to, co w samym języku nie jest wcale proste. Wstępnym krokiem do zmiany pisowni, ewent. do jej uproszczenia powinno byłoby być unormowanie wymowy literackiej, ustalenie jej wzoru. W obecnym stanie rzeczy najbystrzejszy uczony musi w sprawach ortograficznych wystąpić w roli samowolnego prawodawcy, co przecież nie jest pożądane.

Trzeba sobie uprzytomnić, że każda zmiana pisowni jest ciężkiem przejściem dla ogółu piszącego. Kiedy wdrożymy się do pewnej pisowni, staje ona niejako drugą naturą naszą, tak silnem przyzwyczajeniem, że zastąpić je innem to wysiłek nielada, wysiłek, wymagający całych lat pracy nad sobą, zwłaszcza gdy w ustalonych przepisach roi się od wyjątków: w tym ostatnim wypadku starania nad opanowaniem nowej pisowni mogą być daremne już do końca życia. Ściśle mówiąc, reformę pisowni przeprowadza się tylko i wyłącznie z myślą o pokoleniu następnem: dopiero ci, którzy zaczną uczyć się pisać, mogą odczuć wartość dokonanych zmian, dopiero ci mają dane, aby całkowicie opanować nowo wprowadzoną pisownię, bo im tylko w tym wysiłku nie będą przeszkadzać wybijające się ciągle na powierzchnię świadomości wspomnienia dawnej pisowni.

Widać stąd, że od pokolenia, wdrożonego do pewnej pisowni, inicjatorzy zmian wymagają wielkiej ofiary, ni mniej, ni więcej, tylko aby przestali być ludźmi piśmiennymi w pełnem znaczeniu tego słowa. Dobrze jeszcze, jeżeli istnieje poczucie, że tą ofiarą okupuje się dobro pokolenia, które dopiero weźmie pióro do ręki. Ale jeżeli tego poczucia niema, jeżeli przeciwnie przeważać będzie poczucie, że pożytek z dokonanych zmian jest wątpliwy?

Nowa pisownia to nietylko zerwanie z dawną pisownią, lecz także zerwanie łączności z dotychczasowym dorobkiem kulturalnym, złożonym w książkach. Dla kogoś, przyzwyczajonego do pewnej pisowni książka w innej pisowni staje się już obcą, razi jak niemodny strój, na który popatrzymy chyba tylko dla zaspokojenia ciekawości. Czy więc ma się odciąć nowe pokolenie od przeszłości, która wszędzie i zawsze daje oparcie dla poczynań na przyszłość? Groźbę tę możnaby było usunąć tylko w jeden sposób — że się przedrukuje tysiące i tysiące książek, przynajmniej wybranych. Społeczeństwo musiałoby jednak ponieść wtedy wielkie ofiary materjalne. Któż ma mandat do nakładania takich ofiar?

Te wszystkie względy skłoniły mię do podjęcia roli opozycjonisty w łonie Komitetu Ortograficznego, do przeciwstawiania się zamierzeniom, aby przeinaczyć naszą pisownię na użytek bliżej nie określonych „mas", i już zaraz na wstępie odczytałem deklarację tej mniej więcej treści, że należy utrzymać dotychczasową pisownię i tylko ją wygładzić. Przyszłość widziałem w czarnych barwach. — Nie wiem, czy słusznie, ale pomyślałem sobie, że zamierzona zmiana pisowni jest dalszym ciągiem tych zmian, które na wielką skalę przeprowadzono w ustroju szkolnictwa, i że w takim razie jest ona może nieunikniona [1] —. Wśród członków Komitetu był tylko jeden, który interesował się poważnie historją naszej pisowni w nowszych czasach i badał jej przydatność w szkołach — to ś. p. Artur Passendorfer; nie było zaś ani jednego, o którymbym wiedział, że zgłębiał zagadnienie pisowni ze strony teoretycznej — takich ludzi miała np. Rosja i Niemcy, ale my, przynajmniej w Komitecie Ortograficznym, nie.— Członkowie Komitetu Ortograficznego stanowili grono ludzi, przypadkowo zebranych, nietylko przemawiających różnemi językami pod względem naukowym, ale też niezwiązanych jakąś wspólną ideą.

Tuszę sobie, że byłem jednym z tych członków Komitetu, którzy swoją opozycją nie dopuścili do uchwalenia zbyt gwałtownych zmian ortografji, na jakie się zanosiło. Ale i to, co zostało uchwalone, uważałem i uważam naogół za niedobre.

* * *

Weźmy zmianę pisowni wyrazów, jak *Marja, diecezja* i t. d. Wyrazy te wymawia się zazwyczaj z połączeniem *-ja* na końcu, tak jak się je dotychczas pisało, bywa też wymowa *Maryja, diecezyja*, *utopija*, ale

---

[1] Na posiedzeniu Komitetu Ortograficznego za zmianą pisowni opowiedział się w każdym razie także przedstawiciel Związku Nauczycielstwa Polskiego.

rzadsza i nie typowa dla języka literackiego. Podobnie jest w zgłoskach środkowych, wymawiamy bowiem z *j: higjena, awjacja, konjugacja* i t. d.; niektórzy Polacy mają tu jednak przed samogłoską połączenie *yj* i *ij: socyjalizm, krupijer,* zwłaszcza pospolite są *austryjacki, grubijanin...* Jeszcze inna ewentualność jest ta, że *j* spływa z poprzedzającą spółgłoską, jak np. w wyrazie *bibljoteka = biblotek*a. Wymawiamy chyba pospolicie *djabeł,* ale wyraz *djeta* może też brzmieć *dyjeta* i *dijeta,* a taka *biografja* jest wyrazem czterozgłoskowym z pierwszą zgłoską *bi-*. Cóż Komitet Ortograficzny uchwalił? Oto, żeby pisać we wszystkich takich wyrazach stale *i,* z wyjątkiem po *c s z,* po których ma się pisać *j.* A więc ustalono pisownię: *Maria, austriacki, awiacja, Biblia, biblioteka, biologia* i t. d.

Ogółem biorąc, uchwała Komitetu usuwa *j* z pisowni tych wyrazów i wprowadza na to miejsce *i.* Pierwsze wrażenie, jakie się tu narzuca, to to, że wyrazy, o których mowa, mają się pozbyć szaty polskiej, jakiej się dosłużyły na ziemi naszej, i przywdziać na nowo szatę obcą [1] — bo *j* było właśnie, w mowie i na piśmie, widomym znakiem ich spolszczenia się. To odsądzenie od indygenatu dotknęło nietylko pożyczki świeżej daty, ale także wyrazy, które wiekami całemi dosługiwały się polskości, jak wyraz *djabeł,* który odtąd ma być obco wyglądającym *diabłem.*

Kiedy Komitet usuwał *j* na rzecz *i,* miał na myśli między innemi to, aby ten, kto pisze, nie zastanawiał się już, „czy wyraz jest rodzimy, czy przyswojony" i żeby miał regułę prostą: po literach, oznaczających spółgłoski, inne, niż *c s z,* pisze się stale *i.* Ta reguła nie jest jednak ścisła. „Poza *c s z* pisze się *j* po spółgłoskach kończących przedrostki *ob-, od-, nad-, pod-, przed-, w-,* oczywiście też *z-, wz-, roz-,* np. *objawić, odjechać, nadjechać, podjazd, wjazd, rozjaśnić.* Tutaj jedyny wyjątek: *obiad*". — Wzmianka o tym wyjątku to błąd ze stanowiska gramatyki historycznej: brzmienie *objad* jest tylko wtórnym prowincjonalizmem. Z równą słusznością mógłby Komitet powiedzieć, że pozwala nie pisać *j* w wyrazie *wziąć,* choć to złożenie z *jąć:* w rzeczywistości i tu już prasłowiańska postać nie miała *j.*

Komitet ma rację, że dał regułę bardzo prostą, zrównano bowiem w pewnym stopniu — n a p a p i e r z e — wyrazy obce z rodzimemi. Ale przecież nie sama prostota reguł stanowi o doskonałości pisowni. Ze stanowiska naukowego najdoskonalszą jest ta pisownia, która najlepiej

---

[1] Przyznaje to zresztą także prof. Nitsch, w swej Pisowni polskiej (Warszawa 1936), str. 19, mówiąc, że wracamy „do typu pisowni łacińskiej, na *-ia*".

oddaje wymowę; taka pisownia jest też najbardziej pożądana pod względem społecznym, ona to właśnie odpowiada potrzebom „mas“. Tego postulatu może nie spełniać pisownia tradycyjna, nie nadążająca za zmianami, jakie się w języku dokonywają. Co innego jednak, kiedy się pisownię postanawia zmienić, z zamiarem, aby ją udoskonalić. Wtedy obowiązuje chyba postulat zbliżenia pisowni do wymowy. Otóż, uchwała Komitetu stanęła w całkowitej sprzeczności z tym postulatem.

Wprowadzając wyjątek po *c s z*, t. j. pisownię *Francja, pasja, diecezja...*, powodowano się obawą, że inny sposób pisania, mianowicie, *Francia, pasia, diecezia,* mógłby pociągnąć za sobą fałszywą wymowę *Franća, paśa, dieceźa.* Tem samem pośrednio przyznaje się rację tym, którzy twierdzili i twierdzą, że wyrazy, jak *Dania, mania,* w tej pisowni mogą być błędnie czytane na sposób polski jako *Dańa, mańa* i t. d. Z tem niebezpieczeństwem koślawienia prawidłowej wymowy wskutek nowo wprowadzonej pisowni trzeba się liczyć tembardziej, że chodzi tu o wyrazy obce, z pośród których część rzadko tylko ma się możność poznać w żywej mowie potocznej.

Otóż, czy dobra jest zmiana, której następstwem może być psucie języka, rzeczy ważniejszej, niż pisownia? Czy można nazwać społecznie pożądaną taką zmianę, która utrudnia poznanie właściwego brzmienia wyrazów, będących w użyciu w mowie ojczystej? O ileż lepsza była dotychczasowa pisownia, opierająca się na brzmieniu wyrazów w języku literackim... [1]

Właśnie w języku literackim. Bo trzeba wiedzieć, że na decyzji Komitetu zaważyło osobliwe stanowisko wobec języka literackiego. Nie wypowiadano tego głośno, ale i omawianą kwestję, i niektóre inne traktowano tak, jakgdyby to był tylko język papierowy i istniał tylko na piśmie: żywa mowa, rzeczywista rzeczywistość to tylko dialekty. Jednym z głównych argumentów, aby wyrazy, które dotąd się pisało *Arabja, utopja, Mołdawja, Zofja, chemja...*, teraz pisać *Arabia, utopia, Mołdawia, Zofia, chemia...*, był dla Komitetu ten, że tak oto sprawi się ulgę jednostkom, które nie panują nad wymową literacką i, mówiąc po gwarowemu, nie odróżniają w wymowie *bia, pia, wia, fia, mia* od *bja, pja, wja, fja, mja* (przyczem *a* oznacza tu jakąkolwiek samogłoskę). Dotąd mieli trudności w odróżnianiu na piśmie wyrazów swojskich

[1] Prof. Pigoń w artykule, umieszczonym w Tygodniu, dodatku do Nr 251 Głosu Narodu z dnia 13 września 1936 r., przypomina, że tych członków, którzy zwalczali inowacje w dotychczasowej pisowni, obzywano w Komitecie „obskurantami“. Czytelnik sam osądzi, kto w tym wypadku jest obskurantem.

z *bia pia...* od przyswojonych z *bja, pja...*, które w wymowie, jedne i drugie, brzmią u nich jednakowo, np. *głębja* i *Arabja.* Odtąd tych trudności nie będzie — będą mówić stale np. *bja,* lecz pisać, nie oglądając się na wymowę, własną, czy literacką, *bia.* Pozostaną więc w obrębie swego dialektu, a z językiem literackim utrzymywać będą łączność przez pismo. Właśnie żeby im to ułatwić, należy zmienić dotychczasową pisownię! To rozumowanie znalazło odbicie w obu książkach, zredagowanych przez prof. K. Nitscha: w akademickiej Pisowni polskiej, str. 22 i w Książnicy wydanej Pisowni polskiej, str. 18. Oto jeszcze przykłady tego rozumowania podczas obrad w Komitecie. Powstało np. pytanie co do literackiej wymowy wyrazu, pisanego dotychczas *szałwja.* Zamiast to pytanie rozstrzygnąć, uznano, że jest to dodatkowy argument za pisownią *szałwia:* pisownia ta pokryje i wymowę *szałwia,* i wymowę *szałwja...* — Ci członkowie Komitetu Ortograficznego, którzy przeciwni byli dotychczasowej pisowni, t. j. utrzymaniu *j* po *n* w *Danja, manja,* sądzili, że pociąga ona za sobą „albo pisownię *manjera, kosynjer, inżynjer* albo szereg szczegółowych przepisów co do pisowni *nj* a *ni,* co by było o wiele większą niewygodą" (por. akadem. Pisownię polską 22). Oczywiście, ale tylko wtedy, gdy się traktuje sprawę tak, jakby języka literackiego z jego osobną wymową nie było. — Można żądać i od uczniów w szkołach, i od studentów w uniwersytetach opanowania wzorowej wymowy niemieckiej i francuskiej, nawet w ich najdoskonalszej postaci scenicznej, ale w stosunku do języka ojczystego to żądanie jest niepotrzebne...

Z toku tych rozważań widać, jak sobie wyobrażam racjonalne rozwiązanie kwestji pisania wyrazów typu *Marja diecezja.* Sądzę, mianowicie, że należy najsampierw ustalić obowiązującą, wzorową wymowę tych wyrazów, a potem dopiero przystąpić do formułowania reguły ortograficznej. Okaże się wtedy, że triumf w pisowni odniesie nie *i,* lecz *j* [1].

---

[1] W VI Komunikacie Komitetu Ortograficznego powiedziano, że gotów byłem zgodzić się w wyrazach typu *Marja diecezja* na *i,* byleby to *i* było powszechne. Jest to przedstawienie nieścisłe. Sprawa miała się tak. Na jednem z posiedzeń dyskutowano projekt, żeby wszystkie litery spółgłoskowe podzielić na dwie mniej więcej równe grupy i po jednych pisać *i,* po drugich (t. j. *c s z t d r l ż*) *j.* Zaoponowałem przeciw temu, mówiąc mniej więcej tak: Ogół zrozumiałby jeszcze jako uproszczenie pisowni, gdyby się jednostajnie pisało *i,* albo jednostajnie *j,* ale proponowane rozwiązanie to ciężar nie do zniesienia. — Kiedy Komitet uznał, że *j* z środka wyrazu należy usunąć i kiedy widać było, że od tego nie odstąpi, chciałem uratować *j* przynajmniej w zgłoskach końcowych, t. j. w *Marja, agonja* i t. d. Zaprojektowałem wtedy, aby utrzymując pisownię *Marja, agonja...,* pisać w środku

* * *

Druga wieczna kwestja polskiej ortografji, to kwestja pisania narzędnika i miejscownika liczby pojedyńczej oraz narzędnika liczby mnogiej deklinacji zaimkowej i przymiotnikowej. Wbrew uchwale z roku 1918 zniesiono rozróżnianie wymienionych przypadków zaimków i przymiotników według m i a n o w n i k a. Ma się pisać odtąd nietylko *tym dobrym człowiekiem, o tym dobrym człowieku,* lecz także *tym dobrym dzieckiem, o tym dobrym dziecku* pomimo mianownika *dobre dziecko,* nietylko *tymi dobrymi ludźmi,* lecz także *tymi dobrymi końmi, kobietami, krowami, cielętami* pomimo mianownika *dobre konie* i t. d. — Nawiasem dodam, że w wydanej przez Polską Akademję Umiejętności Pisowni polskiej (Kraków 1936), str. 24 błędnie podano przepis dotychczasowy: „znosi się w wymienionych przypadkach zaimków i przymiotników rozróżnianie rodzajów". Autentyczną redakcję dotychczasowego przepisu znaleźć można w pracy ś. p. Jana Łosia: Zasady ortografji i słownik ortograficzny, np. wyd. IV, str. 7, gdzie wyraźnie powiedziano, że te przypadki zaimków i przymiotników rozróżnia się „nie według rodzaju, zwłaszcza w liczbie mnogiej, w której właściwie są tylko dwa rodzaje: męsko osobowy... i nie męsko osobowy..., lecz według końcówki mianownika". Redaktor Pisowni polskiej popełnił tu więc rażący lapsus.

Uzasadnienie nowego przepisu jest bardzo proste. Podaje je zacytowana dopiero co Pisownia polska, na tejże 24 stronie: „dla usunięcia wciąż masowo występujących błędów". Chodzi tu o błędy, oczywiście, przedewszystkiem uczniów w szkołach. W związku z tem uzasadnieniem smutne refleksje snują się po głowie. Uczniowie mieli do opanowania najprostszą regułę, jaką sobie tylko można wyobrazić: pisz w narzędniku i miejscowniku *y*, gdzie mianownik ma -*y*, pisz w tych przypadkach *e*, gdzie mianownik kończy się na -*e*. Mimo to pozwalali sobie na „masowe" błędy. Świadczyłoby to źle o solidności samej nauki w szkole, o braku dostatecznego rygoru. Ci sami polscy uczniowie potrafili przed wojną, w zaborach rosyjskim i niemieckim, pokonać polską pisownię w sposób równie doskonały, jak obcą, choć byli tu często pozostawieni sami sobie. Dlaczegóżby teraz nie mogli dać sobie rady z pisownią narzędnika i miejscownika zaim-

---

wyrazu tak, jak Komitet uchwali pisać na początku. Skoro więc Komitet uchwala pisać *tiara dieta tryumf cyjan Syjam,* to niech będzie także np. *kwestionaryusz,* ew. *kwestionaryjusz.* Chodziło mi zresztą tylko o samą zasadę. I to moje wystąpienie przedstawione zostało w tymże Komunikacie Komitetu Ortograficznego (por. Jęz. Pol. XXI 78.) w sposób tendencyjny.

ków i przymiotników? Nie chcę temu wierzyć. Czy zbadał kto sprawę nauczania pisowni w naszych szkołach i stwierdził rzetelnie, że „masowość“ ogranicza się tylko do tych błędów? Czy były jakie próby ograniczenia tej „masowości“? Zdawałoby się, że to był pierwszy obowiązek Komitetu Ortograficznego — zbadać całą sprawę do głębi, ustalić, gdzie jest źródło złego (jeżeli jest), w pisowni, czy może w systemie nauczania. Dopiero z udokumentowanemi danemi w ręku można się było odważyć na zachwianie tej części gmachu naszej pisowni.

W tym wypadku nie chodzi jednak tylko o pisownię. Komitet Ortograficzny wkroczył tu do gmachu samego języka, aby robić w nim porządek. Wbrew elementarnym postulatom nauki, które głoszą, że gramatycy są tylko obserwatorami dziejów języka, że nie niszczą, lecz chronią jak oka w głowie faktów, które zadrgały na powierzchni życia. Tak ich uczył niezapomniany J. Grimm swym stosunkiem do języka niemieckiego, przedmiotu najczulszego jego ukochania.

Niewłaściwa ingerencja Komitetu Ortograficznego w życie języka polskiego polega tu na tem, że samowolną uchwałą, wywołaną wnioskiem prof. Lehra, skasowano pewien fakt językowy. Badacze języka polskiego fakt ten wprawdzie zwalczali, ale głównie dlatego, że jego geneza była im niejasna. Nie jest to pierwszy i ostatni wypadek, że człowiek, nie rozumiejąc jakiegoś zjawiska, poprostu przeczy jego istnieniu. Tak też jest i w tym wypadku. Nie tu miejsce na roztrząsanie całości sprawy. Wystarczy stwierdzić, że wielu Polaków odczuwa łączność między narzędnikiem i miejscownikiem zaimków i przymiotników a mianownikiem tych samych wyrazów: formy narzędnika i miejscownika przedstawiają im się jako rodzaj złożeń z form mianownika i końcówek *-m* i *-mi*.

Pisownia *dobrym dzieckiem* posiada wprawdzie zwolenników i wśród ogółu piszącego, to jednak ma swoje szczególne racje. Wielu Polaków, stosując się do mowy swojej okolicy, zwęża *e* przed *m;* słyszy się od nich *osim, wim, batym* i t. d., i oczywiście także *dobrym dzieckiem,* ew. *dzieckim.* Pisząc *dobrym dzieckiem, o dobrym dziecku* będą oni więc w zgodzie z własną wymową.

Istnienie osobnych form na *-em* i *-emi* nie ma może znaczenia większego w mowie ustnej, niedbałej zwłaszcza, ale ma je w języku pisanym, gdzie chodzi o ścisłość. Stwierdzi to z pewnością każdy z własnej praktyki pisarskiej. Szczególnie bolesnie odczute będzie zniesienie zakończenia *-em* w przymiotnikach, które wystąpują jako rzeczowniki rodzaju nijakiego. Oto parę wyrażeń w nowej pisowni: *wzdraga się przed złym; o złym to pamięta, a o dobrym to nie; poprzestaję na*

małym i t. d. Każdy przyzna, że tak napisane, wyrażenia te nasuwają całkiem niepotrzebne skojarzenia.

Przyszły historyk języka polskiego wyrazi żal do tych polonistów w Komitecie Ortograficznym, którzy miast bronić stanu posiadania swego języka przed niepowołanymi, sami przyczynili się do jego zubożenia, którzy miast czerpać wzory w dziełach najlepszych mistrzów języka polskiego, opierali się w swych decyzjach na zeszytach początkujących uczniów.

* * *

Żaden punkt nowej pisowni nie sprawi ogółowi piszącemu takich kłopotów, jak pisanie razem i oddzielnie wyrażeń przysłówkowych.

Panującą dotąd tendencją w rozwoju naszej pisowni było, aby te wyrażenia, które w poczuciu językowem występują jako jeden wyraz, pisać razem, w przeciwnym wypadku oddzielnie. Wobec tego, że poczucie językowe dostarcza wskazówek nieraz zbyt subjektywnych, starano się o wyszukanie sprawdzianów formalnych co do pisania razem lub oddzielnie. Tak np., w cytowanej wyżej pracy Łosia czytamy (str. 46), że razem pisać należy, m. in., te wyrażenia, w których „jeden z członów przedstawia już oddzielnie nieużywaną formę np. jakiegoś przypadku niezłożonej deklinacji przymiotników“, a jako przykłady podano: *bezmała, docna, doczysta..., oddawna..., zbliska, zcicha..., zamłodu..., pocichu...* Według nowej pisowni wszystko to mamy pisać oddzielnie. Ponieważ Komitet nie mógł znaleźć j e d n e j o g ó l n e j reguły co do pisania razem, przerzucił się w drugą ostateczność, ustanawiając jako regułę pisać oddzielnie, i dopiero od tej reguły poczynił wyjątki. W naturalnym rozwoju języka jest tak, że każdy wyjątek od ogólnej tendencji ma swoje uzasadnienie. Komitet Ortograficzny nie poszedł za tym naturalnym wzorem i poustanawiał wyjątki bez żadnego ładu i składu: *po cichu* oddzielnie, ale *pomału* razem; *w tył*, ale *naprzód*; *co dzień*, ale *na codzień*, *na oścież*, ale *naokoło* (choć niema *oścież*, a jest *około*) i t. d. Jak widać, Komitet praktycznego rozwiązania kwestji pisania wyrażeń przysłówkowych nie znalazł, bo uczynił potrzebnem używanie słownika ortograficznego, a to przecież jest rzeczą zawsze bardzo niepożądaną — świadczy o tem, że poprawnie pisać nie umiemy. Co zaś do samej reguły, aby wyrażenia przysłówkowe pisać w zasadzie oddzielnie, to ustanawiając ją, znalazł się Komitet w sprzeczności „ze stałą dążnością pisowni polskiej, przejawiającą się, jak to można stwierdzić, w ciągu stuleci“. [1] — W poszczególnych wy-

---

[1] Są to słowa, wyjęte z oświadczenia ogółu językoznawców krakowskich w Języku Polskim XVIII (1933) 50.

padkach, aby uczynić zadość regule, trzeba było stosować do faktów językowych gwałt. Wyraz *przedewszystkiem* był aż do końca czerwca 1936 r. przysłówkiem o pewnem jednolitem znaczeniu, np. «najsamprzód». Od tego czasu przestał nim być — stał się tem, co w gramatykach nazywają połączeniem przyimkowem, albo, jeśli kto chce, wyrażeniem przysłówkowem. Tem samem nasz przysłówek zmienił także swoje znaczenie, które stało się niejednolite, takie, jakie jest właściwe obu jego elementom składowym, przyimkowi *przede* i zaimkowi *wszystek*. Zmianę znaczenia, jaka się tu z woli Komitetu dokonała, możnaby porównać z tą, jakaby doszła do skutku, gdybyśmy oddzielnie zaczęli pisać przysłówek *naprzód*, t. j. jako *na przód*. Aby przypieczętować to odkomenderowanie przysłówka *przedewszystkiem* do szeregu wyrażeń przysłówkowych, kazano też pisać całość w sposób odpowiedni: *przede wszystkim*, gdzie *wszystkim* jest żywą formą narzędnika liczby pojedyńczej. Prasa idzie jeszcze dalej w kierunku, wskazanym przez Komitet, i drukuje już czasem *przed wszystkim!* Trudno o bardziej dobitny przykład bezwzględności i bezceremonjalności w obchodzeniu się z faktami językowemi. Sądzę, że czegoś podobnego trzeba szukać i szukać w poczynaniach reformistycznych ostatnich czasów, w epoce istnienia wielkiej nauki o języku. Bo chciałbym, aby czytelnik wiedział, że sposób, w jaki Komitet Ortograficzny rozwiązał sprawę pisania wyrażeń przysłówkowych razem i oddzielnie, jest sprzeczny z całem nastawieniem naszej nauki wobec faktów językowych.

* * *

Na pracach Komitetu Ortograficznego zaciążył brak głębszej, konsekwentnie stosowanej idei przewodniej. Wspomniałem na początku tego szkicu polemicznego, że Komitetowi wyznaczono jako cel udemokratycznienie naszej pisowni. W toku prac poszło to w zapomnienie. Był punkt, gdzie nawet niezależnie od tego celu można było sprawić ogółowi piszącemu rzetelną ulgę. W Komitecie przedkładano wniosek [1], aby uprościć pisownię wyrazów z *ke i kie, ge i gie*, mianowicie, pisać je jednostajnie na sposób polski przez *kie* i *gie*, pozostawiając może tylko jakie dwa, trzy wyjątki z *ke ge*, np. *kedyw, apogeum*... Członkom Komitetu wydało się jednak, że pisownia *kieson, gienerał*... byłaby zbyt wulgaryzującą! Ostatecznie mamy więc to, że wśród wyrazów obcego pochodzenia te, które otrzymały *gie*, są nie regułą, lecz wyjątkami. Wogóle trzeba zaznaczyć, że „masy“ nie otrzymały nic, więcej nawet, straciły na zmianie pisowni. Że usunięcie *j* z wyrazów, jak

---

[1]) Ja sam byłem właśnie wnioskodawcą.

Danja, Norwegja i t. d. było postanowieniem niedemokratycznem, zaznaczyłem już poprzednio. Tak samo nie jest żadnem uproszczeniem nowa pisownia wyrażeń przysłówkowych. Ktokolwiek przeglądał kiedy choćby listy osób mało piśmiennych, mógł zauważyć skłonność do pisania razem połączeń przyimkowych, zwłaszcza gdy tworzą one jedną akcentową całość (m. inn., *odemnie, przedemną...)*. Komitet poszedł w kierunku, jak wiemy, wprost odwrotnym, niż ta naturalna tendencja, a przytem natworzył całe mnóstwo wyjątków.

* * *

Kto za nową pisownię odpowiada? Otóż, Komitet Ortograficzny, i tylko on. Wobec tego, że w Komitecie zasiadali przedstawiciele całego szeregu instytucyj, zdawałoby się, że i te instytucje dźwigają odpowiedzialność za wynik prac Komitetu. W rzeczywistości tak nie jest. Jak może być odpowiedzialne za nową pisownię np. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie, skoro jego przedstawiciel zwalczał nowe przepisy ortograficzne a ono samo przesyłało dwukrotnie, gdzie należy, swe uwagi krytyczne o tych przepisach? Mogłoby się zdawać, że odpowiedzialność ponoszą specjaliści pewnych działów nauki, które były reprezentowane w Komitecie... I to nie. Historyków literatury reprezentowali czynnie prof. J. Kleiner i prof. St. Pigoń. Stało się jednak także prof. Pigoń, którego wystąpienia w Komitecie zgodne były z poglądami historyków literatury, wyrażonemi w osobnym memorjale, zmuszony był zrezygnować z udziału w Komitecie, pozostał zaś prof. Kleiner, który usilnie popierał zmiany wbrew temu memorjałowi.

Nieszczęściem Komitetu było właśnie to, że nie miał nad sobą żadnej kontroli, że wiedział, iż jego uchwały nie będą oddane do zaopinjowania czy to instytucjom, reprezentowanym w Komitecie, czy to stowarzyszeniom specjalistów. Osłabiło to też w znacznym stopniu poczucie odpowiedzialności wśród członków Komitetu. Można było wprawdzie zaradzić temu przez imienne głosowanie w ważniejszych sprawach: obawa przed sądem instytucyj macierzystych i wogóle opinji publicznej skłoniłaby członków Komitetu do wzmożenia czujności na głosy tych, dla których nowa pisownia była przeznaczona. Ale Komitet mimo ponawianych przeze mnie wniosków nie dopuścił ani razu do imiennego głosowania, wolał pozostać instytucją nieosobową, dla krytyki nieuchwytną.

* * *

Kiedy już nowa pisownia została ostatecznie uchwalona i przez Ministerstwo W. R. i O. P. zatwierdzona, należało pomyśleć o wpro-

wadzeniu jej w życie—dopomóc władzom pod tym względem. Prezydjum Komitetu o tem jednak nie pomyślało.—Ograniczono się tylko do wydania nowych przepisów. Właśnie o tem najsampierw.

Urzędowe wydawnictwo Akademji, cytowana wyżej Pisownia polska ukazała się w redakcji pośpiesznej z błędami nietylko druku, ale i faktycznemi. Redaktor tej książki, prof. K. Nitsch nie uznał za stosowne oficjalnie zaprosić do współpracy innych członków Komitetu, którzyby pomocy z pewnością nie odmówili.

Ukazały się też inne wydawnictwa, rodzaj podręczników nowej pisowni, których autorami są członkowie Komitetu: S. Jodłowski i W. Taszycki, T. Lehr-Spławiński, M. Majewiczówna i B. Wieczorkiewicz, K. Nitsch i St. Szober. Są to książki, z wyjątkiem podręczników Majewiczówny i Wieczorkiewicza, rywalizujące z wydawnictwem Akademji. Rzuca to pewien cień na tych członków Komitetu, a przez nich i na cały Komitet — ze względów kurtuazyjnych nie należało występować z temi podręcznikami, a przynajmniej poczekać aż się wydawnictwo Akademji na rynku księgarskim utrwali. Tymczasem wykazano tu nadzwyczajny pośpiech. Zaledwie nowa pisownia uzyskała w dniu 24.VI. 1936 r. zatwierdzenie Ministerstwa, a już w cztery dni później, bo dn. 28.VI. 1936 r. książka dr. S. Jodłowskiego i prof. W. Taszyckiego nadeszła do Wilna. Wyprzedzono więc wydawnictwo Akademji, które ukazało się w Wilnie dopiero w pięć dni później. Razi to tem bardziej, że według oświadczenia prof. Nitscha jest ono u r z ę d o w ą p o d s t a w ą dla jego własnej książki, a tem samem powinno było być podstawą dla wszystkich innych.

Członkowie Komitetu a autorowie tych podręczników byliby daleko lepiej zrobili, gdyby zamiast własne książki wydawać, zakrzątnęli się wspólnemi siłami około nowego wydania Zasad ś. p. Łosia. Spełniliby tylko prosty obowiązek wdzięczności wobec tego zasłużonego pracownika na polu ortografji polskiej. Inicjatywy w tym kierunku można było oczekiwać od Przewodniczącego Komitetu prof. Nitscha, którego Pisownia polska, wydana w księgarni Książnica—Atlas, ma za zadanie zastąpić wydane tamże Zasady ortografji polskiej ś. p. Łosia. Wspominam tu o tem także z tego względu, że podobieństwo słownika Nitscha ze słownikiem Łosia, jest rzeczywiście wielkie. Przeprowadzone z mego polecenia porównanie wykazało, że jeśli pominąć pozycje opuszczone ze słownika Łosia, to na około 970 wyrazów, zaczynających się od *a-*, w słowniku Nitscha znajdujemy w porównaniu ze słownikiem Łosia wyrazów nowych jedynie 29; wyrazów na *p-* jest u Nitscha około 4510, przyczem w porównaniu z Łosiem pozycyj nowych 298; od *z-* zaczy-

na się u Nitscha około 2430 wyrazów, w tem pozycyj nowych tylko 120. Zaznaczam, że część tych nowych pozycyj są to tylko inne formacje od wyrazów, występujących także u Łosia.

Chodzi mi tu jednak o rzeczy ważniejsze, ogólniejszego znaczenia.

Zmiany, które Komitet Ortograficzny wprowadził do naszej pisowni, wkraczają poczęści w sprawy wymowy. Oto np. ci wszyscy, którzy w wątpliwych wypadkach co do użycia *j* po spółgłoskach mogli się odwołać do pisowni, będą odtąd pozbawieni tego oparcia. Obowiązkiem Komitetu było i jest wystąpić do Akademji i do Ministerstwa z wnioskiem o sformowanie nowego Komitetu, któryby przejrzał ustalone niegdyś Prawidła poprawnej wymowy polskiej (1930), a przedewszystkiem sporządził dokładniejszy słownik ortoepiczny. Niestety, Przewodniczący Komitetu, prof. Nitsch, który sam brał niegdyś udział w ustalaniu tych Prawideł, obecnie zmienił widocznie swe zasadnicze stanowisko i nie przewiduje wogóle potrzeby wzorowego, jednostajnego języka literackiego. W swym podręczniku, wydanym w Książnicy, na str. 9 mówi on: „pisane *e* wymawia się dwojako: jak *e* lub jak *i y* (i po miękkich, *y* po twardych, np. *śnig, syr*)".[1] Podobnie formułuje swe opinje prof. Nitsch także w innych ustępach. Wyrażając aprobatę dla pisowni *Maria* i t. d., prof. Nitsch twierdzi (str. 18), że „wprowadza ona istotne uproszczenie. Ustaje potrzeba zastanawiania się, czy zgłoska jest początkową, czy dalszą, czy może być początkową..., czy wyraz jest rodzimy, czy przyswojony (a któż powie od razu jakiego pochodzenia *skrobia* lub choćby *szałwia?* albo *kutia?)*"... Słowem, byleby napisać *i*, a co się ma kryć za tem *i*, to rzecz dla autora obojętna. Na str. 21, mówiąc o końcówkach *-ym -im -ymi -imi (-em -emi)*, prof. K. Nitsch daje taką wskazówkę:

„Jeśli kto chce pisać:

Do tych pól, malowanych *zbożem rozmaitem*,
Wyzłacanych pszenicą, wysrebrzanych *żytem*

to mu wolno, tylko że w takim razie powinien też pisać:

Wicher kędyś nad *sklepem* szalał *nieruchomem*
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami *gromem*
... klnę się *scyzorykiem*
że Płut nie wyda! gadać już nie będzie z *nikiem*".

[1] Prof. Nitsch znalazł się tu w sprzeczności ze wskazówką, podaną w cytowanych dopiero co w Prawidłach, gdzie czytamy (str. 13): „w wymowie scenicznej samogłoska oznaczona literą *e* powinna brzmieć zawsze jak *e*..."; „wymawiane *e* jak *i* lub *y* nie jest błędem, bo choć za wzorowe uznać go nie można, jest przecież przeżytkiem dobrej, tradycyjnej wymowy". W Prawidłach zaznaczono jednak, że wymowa sceniczna jest zasadniczo miarodajna także dla wymowy szkolnej.

Obawiam się, że ktoś, kto weźmie pod uwagę zasługi prof. Nitscha w zakresie dialektologji polskiej oraz jego wysokie stanowisko w Komitecie Ortograficznym, osądzi, że wyraża on tu typowy pogląd lingwistów na język literacki, że mianowicie lingwiści są wogóle tak pełni nonszalancji w stosunku do języka literackiego. Nic podobnego. Był wprawdzie w rozwoju językoznawstwa taki okres, kiedy do języka literackiego odnoszono się niemal obojętnie, jak do czegoś sztucznego i papierowego. Lecz stanowisko to zostało już dawno zarzucone. Przypatrzmy się, jak odmiennie traktują zagadnienie języka literackiego w Niemczech, w ojczyźnie językoznawstwa.

Oto, już we wrześniu r. 1897 na 44-em Zebraniu filologów i nauczycieli niemieckich w Dreźnie postanawia sekcja germanistyczna zwrócić się do Związku aktorów niemieckich z propozycją wzięcia udziału w narodowem dziele, za jakie uznaje uregulowanie wymowy języka scenicznego. I rzeczywiście w kwietniu r. 1898 dochodzi do wspólnych obrad przedstawicieli scen niemieckich i nauki niemieckiej. W rezultacie tych obrad ukazuje się w druku, w r. 1898, Deutsche Bühnenaussprache — kanon dla sceny. Nie chodziło tu zresztą o samą tylko scenę. Na 45-em Zebraniu filologów i nauczycieli niemieckich, odbytem w r. 1899 w Bremie, uchwalono Deutsche Bühnenaussprache uznać jako wzór do naśladowania wszędzie tam, gdzie się pielęgnuje język niemiecki, przedewszystkiem w szkole, a Th. Siebs, który opracował Deutsche Bühnenaussprache (z obszernym słownikiem), dodaje temu dziełu podtytuł Hochsprache (w r. 1930 ukazało się wydanie XV!). Dodam jeszcze, że duszą Komitetu, który ustalał wymowę niemieckiego języka literackiego, był sławny fonetyk niemiecki Edward Sievers. Wspominam tu o tem wszystkiem po to, aby stwierdzić, że jawne lekceważenie, z jakiem prof. Nitsch traktuje tu polski język literacki, jest już tylko dalekiem echem poglądów, w nauce językoznawczej dawno przebrzmiałych i zarzuconych.

Wniosek stąd oczywisty. Wobec uchwalenia nowej pisowni, zaciemniającej brzmienie wyrazów, i wobec książki prof. Nitscha, bałamucącej w tej sprawie ogół, należy przyśpieszyć zwołanie Komitetu Ortoepicznego.

* * *

Nauczanie pisowni stanowi całe osobne zagadnienie, którem z natury rzeczy zajmują się także lingwiści. Prezydjum Komitetu, przedkładając Ministerstwu wniosek o zatwierdzenie nowej pisowni, powinno było zapoznać je ze zdobyczami nauki w tym zakresie. Uniknęłoby się wtedy błędów, jakie zaraz na wstępie popełniono. Władze szkolne

uznały, zupełnie zresztą szłusznie, że podręczników w dawnej pisowni niszczyć nie należy, że raczej trzeba je utrzymać w użyciu aż do wyczerpania. Ale oto podręcznikom pododawano spisy poprawek ortograficznych: po jednej stronie umieszczono wyrazy w dotychczasowej pisowni, po drugiej w zmienionej. Jest to oczywiście postępowanie nieracjonalne. W ten sposób wrażają się w pamięć dwie postaci tego samego wyrazu naraz. Która z nich utrwali się w pamięci, czy może ta poprawiona? Niestety, nie. Poczynione doświadczenia uczą, że przez długie lata obie postaci będą rywalizować jedna z drugą, przyczem żadna z nich nie będzie zdolna odnieść decydującego zwycięstwa.

Na tem nie kończy się sprawa wprowadzenia nowej pisowni w życie. Twierdzę, że tej pisowni, w całej jej rozciągłości nie posiędzie już do końca życia nikt z tych, którzy stosowali pisownię dotychczasową, nawet członkowie Komitetu Ortograficznego, czyli że mimo wykształcenia, mimo różnorakich uzdolnień i umiejętności, akurat tej, która powinna być umiejętnością elementarną, umiejętności ortograficznego pisania musimy się na zawsze wyrzec. Co zaś do podręczników i słowników ortograficznych, to ich obecność na biurku czyni ojczysty język polski bardziej dalekim, aniżeli jakikolwiek język obcy, niemiecki, francuski czy inny, czyni z niego jakąś chińszczyznę. A uczniowie? Zaznaczyłem już wyżej, że zmiany dotychczasowej pisowni dokonywano pod znakiem ucznia. Ale i tej rzekomo uproszczonej pisowni trzeba przecież nauczyć. Na podręczniki i słowniki ortograficzne niema w szkole miejsca. Krótko mówiąc, sądzę, że obowiązkiem Komitetu Ortograficznego jest pomyśleć przynajmniej o początkujących uczniach i opracować przepisy co do nauczania pisowni; jest to ważniejsze, aniżeli zarzucanie Polski i jej szkół słownikami ortograficznemi.

* * *

Szkic polemiczny, który tu czytelnikom przedkładam, pisałem z prawdziwą przykrością. Jakże to? Członek Komitetu Ortograficznego nietylko nie deklaruje solidarności z tym Komitetem i jego postanowieniami, ale występuje przeciw nim, z publiczną krytyką! Usprawiedliwieniem niech będzie mi to, że podczas obrad Komitetu, przez cały czas, starałem się rozważać zapadające uchwały ze strony ich użyteczności praktycznej, a w związku z tem wielokrotnie protestowałem przeciw tym uchwałom nietylko jako badacz, ale i jako jeden z tych z pośród społeczeństwa, dla których nowa pisownia będzie tylko powiększeniem trosk życiowych. Niestety, decydująca większość była głucha na wszelkie wołania..., w przekonaniu, że społeczeństwo po

pewnem szemraniu pogodzi się ze zmienioną pisownią. Ale jeżeli stosowanie nowej pisowni przechodzi siły ogółu, jeżeli prowadzi ono do zubożenia i zniekształcenia języka ojców i dziadów? Cóż mam uczynić ja, który jako badacz istotę rzeczy uświadamiam sobie lepiej, niż inni moi współbracia, i który wiem, że nauka stoi tutaj po stronie pokrzywdzonego ogółu, a nie po stronie zapamiętałej w swej bezwzględności grupy członków Komitetu Ortograficznego? [1]

JAN OTRĘBSKI

---

[1]) W VI Komunikacie Komitetu Ortograficznego (por. Jęz. Pol. XXI 81) powiedziano, że nikt z członków nie założył votum separatum przeciw uchwałom, powziętym przez Komitet. Ponieważ zarzut ten słyszałem także poprzednio, kiedy był wypowiedziany urzędowo już wyraźnie pod moim adresem, zaznaczam, że regulamin wogóle nie przewidywał takiego protestu. Do kogo miałem skierowywać votum separatum, skoro Komitet nie miał nad sobą żadnej instytucji nadrzędnej — skoro uchwał Komitetu nie zatwierdzała nawet Polska Akademja Umiejętności jako taka? skoro samo Ministerstwo W. R. i O. P. tylko zatwierdzało je do użytku szkół? Jeżeli taka forma protestu istniała, powinien był zwrócić mi na nią uwagę Przewodniczący, którego zadaniem jest ułatwiać członkom spełnianie swych obowiązków. Bo protestowałem przeciw uchwałom Komitetu do końca — pożegnalne przemówienia poprzedzone były bezpośrednio mojem oświadczeniem przeciw jednej z uchwał Komitetu.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI.

FRAGMENT Z POWIEŚCI

Roman miał służbę oficera inspekcyjnego. W zastępstwie adjutanta przyjął raport o tem porucznik Stężak, który świeżo wrócił z Warszawy. Meldując mu się i stojąc z nim przez tę chwilę twarzą w twarz, Roman zauważył, iż oczy porucznika zwykle tak czujne, dzisiaj mają szczególny wyraz. Otwarte szeroko a jakby nieobecne w oczodołach. Obwódki lekko zaczerwienione, może po nocy spędzonej bezsennie. Nieodrazu przyszło Romanowi na myśl łączyć tę zmianę zmizerowanej nagle twarzy porucznika ze sprawą panny Grzesińskiej i Michała. Ale później, gdy z tytułu swej służby inspekcyjnej wałęsał się po rozległych dziedzińcach koszarowych, zaglądał do budynków mieszkalnych, magazynów i stajen prześladowały go te nieobecne oczy. Było mu żal Stężaka.

„Widocznie coś między nimi zaszło", myślał o Maryli i o nim, „może dowiedział się, że tam ktoś nowy pannie asystuje? A może zerwali ze sobą?" Przypomniał sobie swój list do Michała i poczuł się nieswojo. Wydawało mu się, że niepotrzebnie został wmieszany w cudzą, bardzo osobistą historję. Właściwie, wmieszał się sam, i to jeszcze gorzej! Szczęściem, porucznikowi ani przez głowę nie przejdzie, że jest tu w pobliżu taki osobnik, co świadom jest jego zmartwień..

Zbliżał się wieczór chłodny i pochmurny, wróżąc deszczową noc. Stare topole, okalające plac alarmowy, szumiały porywczo i groźnie. Gdzieś w głębi koszar żołnierze śpiewali modlitwę wieczorną. W oknach gasły światła. Paliło się tylko w kancelarji dowództwa pułku. Grążel zajrzał tam o pewnej godzinie i ujrzał Stężaka zatopionego w pracy. Wycofał się więc niedostrzeżony, obszedł jeszcze raz posterunki i poszedł do kasyna na kolację. Zastał tu Bułeckiego, dopijającego herbatę i jeszcze jednego z kolegów, który improwizował sobie na fortepianie dziwaczne melodje.

Zpoczątku Roman zajęty jedzeniem nie zwracał na muzyka uwagi. Zamienił z Bułeckim kilka obojętnych słów, a potem odsunąwszy talerz wziął się za gazetę. Nie mógł jednak długo czytać, wielogłosowa mowa fortepianu zmusiła go do słuchania. Baczniej przyjrzał się pianiście: był to ów figlarz mecenas, o którym Roman nie miał zbyt pochlebnego pojęcia. Pamiętał jego sztubackie wybryki na sali wykładowej i awantury po pijanemu, urządzane od czasu do czasu w izbie sypialnej. W tej chwili człowiek ten ukazał się z nieznanej dotąd strony. Ba: nie trzeba było być specjalnym znawcą, by w tem, co grał, odczuć

natchnienie. Ze sposobu atakowania klawiatury, z rozpiętości dynamicznej tego grania, falującego między dramatycznem *forte* i pieściwem *piano,* poznać można było rękę artysty. Narazie mocno zdziwiony, później w miarę słuchania olśniony i oczarowany, zamarł Roman na swem miejscu. Naprzeciw siedział Bułecki z miną zahypnotyzowanego szczura. Muzyk odczuł snać, że ma tutaj dwuch powolnych mu słuchaczy, bo jakby skupił się w sobie jeszcze bardziej i jak magik z czarodziejskiego pudła, tak on z czarnego instrumentu jął dobywać i rozrzucać dokoła siebie wstęgi dźwięków, spływające w jedwabnych kaskadach na pokój, połyskliwe, mieniące się, splatające w kłęby, to znowu rozwijające się z niewidzialnych szpul w nieskończone wątki. Za wstęgami leciały w przestrzeń gołębie białe, różowe i błękitne; ptaki o tęczowych skrzydłach, wzbijały się trzepotliwie w górę, kołowały wysoko i spadały, muskając ciepłem uszy i oczy.

Nagle czarodziej zatrzasnął wieko, złuda prysnęła. Mecenas wstał od fortepianu, sięgnął po płaszcz i czapkę. Roman podszedł do niego, mrugając powiekami jak człowiek zbudzony ze snu, i w milczeniu uścisnął mu dłoń.

— Ależ pan gra, — szepnął z podziwem.

— Tak, — mruknął ze swego miejsca Bułecki, — ja się nie znam na muzyce, ale to było piękne. Co to było?

Muzyk uśmiechał się zażenowany i zapinał pas na sobie.

— Takie sobie dyletanckie brząkanie. Z nudów.. Nudy tu straszliwe!

Wsadził rogatywkę głęboko na tył głowy i zaczął świstać przez zęby.

— Idę na wódkę, — rzekł nagle, — może który z panów pozwoli ze mną?

Bułecki potrząsnął głową przecząco, zresztą nie do niego skierowana była ta propozycja, Roman wymówił się służbą i mecenas poszedł pić sam. W szyby uderzyły pierwsze krople deszczu.

— I znowu taki sam jak zawsze — westchnął Bułecki, odprowadziwszy go spojrzeniem, — a kiedy grał, zdawało się że w nim inna dusza siedzi i duszęby mu człowiek oddał za tę muzykę. No i co? Pan ma służbę, a ja chyba pójdę spać.

Wyszli razem na dwór. Było bardzo ciemno. Mżył deszcz, wiatr obrywał z drzew liście poddające się już jesieni. Obaj oficerowie brnęli w ciemności aleią, po której raz po razu przebiegały złowieszcze szumy. Niespodziewanie Bułecki wziął Romana pod rękę i rzekł półgłosem:

— Dostałem dzisiaj odpowiedź na moje podanie. Ze względów formalnych odmówiono. Muszę wracać do kancelarji gminnej.

Przy słowie „kancelarja" Grążel odruchowo rzucił okiem w stronę dowództwa pułku. W oknach tam było już ciemno. Widocznie Stężak skończył urzędowanie i wyszedł. Gdyby mecenas jemu zaproponował popijawkę, tenby z pewnością nie odmówił. To była uboczna refleksja Romana. Nie dosłyszał dalszych słów towarzysza który użalał się na swoje niepowodzenie, powtarzając parokrotnie:

— Takie to są sprawy... Takie to są sprawy.

Zatrzymali się przed wejściem do koszar. Grążel, którego rozwibrowała i rozmarzyła improwizacja w kasynie, chciał zostać sam i odczepić się od nieszczęsnego nudziarza. Chciało mu się włóczyć w tej mokrej ciemności samotnie, słuchać głosów rozchwianych drzew, oddać się nadpływającym zewsząd cieniom zadumy. Cóż go bowiem obchodzą perypetje człowieka, w gruncie rzeczy obcego, z którym za dziesięć dni rozstanie się nazawsze.

Ale Bułecki nie miał zamiaru odejść. Trzymał go wciąż pod rękę, mówiąc:

— Pan pewno wraca na wartownię. Odprowadzę pana. I tak jeszcze nie chce mi się spać.

Zawrócili więc w tę stronę, skąd przyszli. Wtedy towarzysz Romana jął dalej się wywnętrzać.

— Właściwię i tę pracę, co mam, dali mi raczej z litości, bo mogliby się beze mnie obyć. Burmistrz, porządny chłop, sam oficer rezerwy. Ale mogą go zabrać, wtedy ze mną klapa. Budżet gminy niewielki jest, deficyt rośnie, a na mnie muszą wydać prawie tysiąc złotych rocznie. Wszystko wisi na włosku. Żeby nie dzieci powędrowałbym gdzieindziej za chlebem, rodzice możeby z opieki społecznej coś dostali. A tak? Starsza córka chodzi już do szkoły.

— Ile ma lat? — udał zainteresowanie Roman.

— Dziesięć, a młodsza sześć. I tę trzeba zacząć uczyć. Szkołę mam niby darmo, ale książki, ubranie. .

Zamilkł. Może teraz sobie pójdzie? Lecz nie. Gdy ludzie w mroku nie widzą swych twarzy skłonni są do zwierzeń. Mrok, który ich obu teraz otaczał i maskował, tak też nastroił Bułeckiego gdyż po pauzie, zniżywszy głos, zaczął:

— Wie pan? Opowiem panu coś, o czem nikt nie wie. Przeżyłem raz straszną godzinę.

Roman zwrócił ku niemu głowę, ale w ciemności widział tylko czarną sylwetkę. Spodziewał się usłyszeć jakiś epizod wojenny. Czło-

wiek trzykrotnie dekorowany za waleczność mógł rzeczywiście opowiedzieć coś zajmującego. Lecz to nie było to.

— Dwa lata temu, zanim przyjęto mnie do kancelarji, cierpiałem straszną nędzę. Dzieciska wychudły mi jak szkielety. Żyliśmy ochłapami, trochę z łaski gminy, trochę — z dobrego serca ludzi, którzy nam jako tako pomagali. Lecz to nie mogło trwać długo i bardzo upokarzało. Zwalili mi się wtedy na kark rodzice. Mieszkali w innem miasteczku, tam był pożar. Spaliło się wszystko co mieli. Dostali zapomogę jako pogorzelcy i przybyli do mnie. Miałem dach nad głową, ale nic więcej. W pięcioro w jednym pokoju to głupstwo, ale do gęby niema co włożyć. Grosze, co rodzice ze sobą przywieźli, prędkośmy przejedli, a potem już tylko kartofle i kartofle, czasem kawałek razowca. Codzień chodziłem prosić o pożyczenie mleka dla dziewczynek. Zpoczątku sąsiedzi dawali chętnie, później ze złością, a w końcu nic nie dawali. W małem miasteczku niema zamożnych ludzi, a taki poproszajka może dokuczyć. Nerwy miałem roztargane do kresu. Wreszcie powiedziałem sobie: dość. Akurat w starej gazecie przeczytałem wiadomość o tem, że w jakiemś mieście niemieckiem kobieta powiesiła na krawędzi łóżka czworo swoich dzieci i sama odebrała sobie życie. Z nędzy. Taki i dla nas będzie ratunek, pomyślałem sobie. Posłałem rodziców do lasu, mieli grzyby zbierać i szyszki na opał. Poszedłem do urzędu gminnego, znali mnie tam, częstym bywałem gościem. Popołudniu w urzędzie niema nikogo, woźny siedział sobie na ganku. No i udało mi się zabrać z biurka burmistrza rewolwer. Zawołałem obie córki do mieszkania, zamknąłem się z niemi. Zbiedzone to było i oberwane, serce się krajało. Umocniłem się w postanowieniu: koniec już tej męce dla nich i dla mnie. Palnę sobie w łeb, ale i dzieci nie zostawię na poniewierkę. Powiedziałem:

— No, dziewczynki, pocałujcie ojca. Nieprędko się zobaczymy.

— Tatuś wyjeżdża? — spytała starsza.

— Wyjeżdżam.

— Pewnie po pieniądze i jedzenie, — powiedziała mniejsza.

— Tam już nie będzie potrzeba nam pieniędzy.

Pokolei objęły mnie za szyję, ucałowały.

— Teraz, — mówię, — pocałujcie się ze sobą mocno, najmocniej.

Czekałem gdy się obejmą, odwrócą odemnie oczy, wtedy... by nie widziały! Młodsza ze śmiechem chwyciła starszą wpół, a ta zaczęła coś przeczuwać. Zadrżała. Nie spuszczała ze mnie oczu. Zosia jej na imię, a oczy ma duże niebieskie. Nieznacznie wysunąłem rękę z bronią, by nie utracić stosownego momentu. A moja Zosia jak nie chwyci

nagle siostrę za szyję, jak nie przyciśnie kurczowo. A oczy wciąż wlepia we mnie. Rozpacz i wściekłość mnie dusiły. Krzyknąłem na nią:

— Prędzej, pocałujcie się.

Palec mi drżał na cynglu w kieszeni. I wtedy ta mała mówi cichutko do mnie:

— Tatusiu, czy możemy przedtem z Helenką pacierz zmówić?

Ścięło mnie to jak piorun. Nad moje siły było...

Ręka, którą trzymał Bułecki ramię Romana, trzęsła się teraz jak liść i dygotanie jej udzieliło się tamtemu. Stracili po ciemku kierunek, obaj przejęci tą spowiedzią, i smagani deszczem wlekli nogi po błocie, natykając się na jakieś krzaki, przegrody, słupy.

— To było właśnie takie przerażenie, o którem na początku wspominałem. Chciałam mordować z litości, a przyszło coś silniejszego i odjęło mi rękę.

Głos mu się w tem miejscu załamał, Grążel domyślił się raczej niż dojrzał, że ten człowiek płacze. Przystanął. Poomacku, naoślep położył mu dłonie na ramionach.

— Kolego, — szepnął, — jeżeli kiedykolwiek pan... albo pańskie dzieci... niech pan pamięta, że cokolwiekby się z panem stało, ja im nie dam zginąć.

Uczuł usta Bułeckiego na swoim policzku, zawstydził się tego rozczulenia i dość szorstko odsunął od niego. Tamten patetyczny odruch wydał mu się śmieszny.

— Dziękuję, — westchnął Bułecki, — ja już tego nigdy drugi raz nie zrobię. To była okropna chwila. Ale widać była potrzebna, bo niech pan posłucha, co wynikło dalej. Wrócili moi starzy z lasu, przynieśli koszyk grzybów. Zasiedliśmy do kolacji, a tu wpada zdyszany burmistrz. Ujrzał mnie i odsapnął z ulgą. Wywołał mnie na dwór.

— Niech pan odda rewolwer, — powiada, — nie będę robił doniesienia o kradzież. Dzięki Bogu, przybyłem w porę.

Był przekonany, że powstrzymał mnie od samobójstwa. Na drugi dzień wymyślił dla mnie jakąś pracę w kancelarji. I tak człowiek wegetuje od tego czasu nanowo. Może niepotrzebnie to panu opowiedziałcm, ale to mi ciążyło na duszy czasami bardzo mocno. I ta muzyka mnie dzisiaj rozebrała.

Skończył swoją spowiedź. Znowu się zatrzymali obaj, starając się przeniknąć wzrokiem gęstwinę deszczu i nocy. Bułecki pierwszy się zorjentował.

— Tu są koszary bataljonu rekruckiego, — rzekł, — gdzieśmy to zaszli z panem! Ja będę wracał, a pan?

— Ja tu zrobię inspekcję koszar, — mruknął Grążel.

— To dobranoc panu.

— Dobranoc.

Podali sobie mokre dłonie i rozstali się. Grążel został sam pod wrażeniem opowieści niefortunnego ojca. Uprzytomniła mu ona grozę czasów, w których wypadło żyć jego pokoleniu.

Malały w ich obliczu wszelkie osobiste komeraże. Odbywał się bowiem wielki rozrachunek rodzaju ludzkiego z naturą, gwałconą i oszukiwaną przez dawne pokolenia. Płaciło się dziś za grzechy i błędy przodków, grzęznąc w grzechy nowe. Wszystko inne nieobjęte tym rachunkiem, jak naprzykład sprawa Michała i porucznika Stężaka, panny Grzesińskiej i jego, Romana dwuznaczna rola w tej intrydze, to wszystko ukazało się w tej perspektywie jako politowania godne i dziecinne.

Odżyły w nim uczucia z tych lat, gdy jako bezrobotny, pełen myśli posępnych, przemierzał na ołowianych ze zmęczenia nogach ulice Warszawy, gdy omijał gromady takich jak on sam upośledzeńców, bękartów losu, warujących daremnie przed urzędami pracy (jemu się udało, a tamci warują dalej i jeszcze ich pewnie przybyło); gdy wzrokiem wyostrzonym przez niedolę oglądał ze zrozumieniem rzeczy, ale bezlitośnie (bo nieprawdą się stało, że tylko głodny głodnemu współczuje: dziś głodni zpodełba spozierają na siebie, zazdrośni o miejsce na świecie) bezlitośnie oglądał egzystencje rodzin całych, bytujących w warunkach, których zwierzętom się oszczędza. Więc czemże jest dramat takiego Stężaka, oszukiwanego — przypuśćmy to — przez narzeczoną, wobec tragedji takich Bułeckich?

Ulżyła mu ta konfrontacja. Nabrał przeświadczenia, że na czas dłuższy przestanie zaprzątać sobie głowę warszawskim romansem. Możnaby rzec, iż dzięki Bułeckiemu odnalazł punkt oparcia dla siebie i ubezpieczył się przeciw dalszym zamachom na swoją równowagę, zamachom z tej właśnie strony. Był teraz posmutniały ale spokojny. Odbył dokładną inspekcję koszar bataljonu rekruckiego, przepłoszył zaspanych dyżurnych, pouczył ich surowo o obowiązkach służby i stanął w słabo oświetlonej sieni by wypalić papierosa.

Spojrzał na zegarek: północ już minęła. Ulewa bębniła w blaszane dachy i pluskała po ściekach. Zrobił wszystko co do niego należało. Miał prawo wrócić na wartownię, obudzić podoficera, a samemu zdrzemnąć się parę godzin. Odczuwał już zmęczenie, od południa był na nogach. Skończył więc palenie, nasunął sobie czapkę na oczy, podciągnął szablę wyżej, aby mu się nie plątała między krokami i zanurzył się w mroki wrześniowej nocy. Skracał sobie drogę, omijając

naukos pogrążone we śnie bloki zabudowań. W jednym budynku na piętrze świeciło okno, zasłonięte firanką. Poznał, że w tym właśnie domu mieszka porucznik Stężak.

Zatrzymał się tu i zadarł głowę do góry. Czemuż ten biedaczyna nie śpi jeszcze? Co tam porabia samotny? Gryzie się może i nęka czarnemi rozmyślaniami. W Romanie obudziło się współczucie: możeby wejść tam i ostrożnie, delikatnie pocieszyć młodzieńca, jeśli potrzebuje pociechy? Czasem w takich zmartwieniach sam widok życzliwej twarzy ludzkiej pomaga człowiekowi.

Wszedł na schody z tą myślą, skręcił w długi pusty korytarz i przystanął pod drzwiami, gdzie nad framugą znaczyła się cienka linja światła. Stał dość długo i nasłuchiwał. Za drzwiami było cicho. Zapukał lekko. Nikt się nie odzywał. Zapukał głośniej — też nic. Usnął chyba porucznik i nie zgasił światła. Nie pozostawało nic innego jak zaniechać z tych późnych odwiedzin i wracać. Nim odszedł, nacisnął jeszcze na próbę klamkę. Drzwi się uchyliły; a to wystarczyło, by dostrzec w głębi oparcie żelaznego łóżka i buty leżącego na nim człowieka. W ułożeniu nóg było coś nienaturalnego, Grążel instynktownie otworzył sobie wejście szerzej i dał krok naprzód.

Na łóżku nawznak leżał nieruchomo jak we śnieporucznik Stężak. Był ubrany, tylko frencz miał na piersiach rozpięty, odsłaniający kawał koszuli i ciała. W tem miejscu lśniła czarna plama, jakby ktoś smołą bryzgnął na serce śpiącego oficera. Lecz to nie była smoła, ale zakrzepła krew, to nie był sen, lecz śmierć.

Od rewolweru, dostrzeżonego pod martwą ręką na posłaniu, oczy Romana przeleciały na stół, oświetlony wiszącą nisko żarówką. Tam, gdy tu był poraz pierwszy, stała fotografja Maryli. Nie było jej teraz. Leżały za to dwa listy w białych kopertach. Na palcach zbliżył się do stołu i odczytał adresy: jeden do dowództwa pułku, drugi zaopatrzony był w dokładny adres panny Maryli Grzesińskiej, w Warszawie. List do pułku nie był zapieczętowany, list do narzeczonej dokładnie zaklejony. Roman potrzymał go chwilę w palcach i położył na miejsce. Zwrócił oczy na twarz trupa. Pod opalenizną skóry występowała popielata szarość. Usta były sine i rozchylone, górna warga zsunęła się i odsłoniła zęby. Ciemny wąsik jeżył się na niej ostro i nadawał ściągniętym rysom kociego wyrazu. Teraz dopioro Grążel zauważył, że na łóżku jest dużo krwi, że cały jej strumień zastygał wzdłuż tego boku, w którym kula rostrzaskała serce.

Tak wyglądał zlekceważony dopiero co dramat...

W oszołomieniu, doznanem od tego widoku, jedna tylko myśl paraliżowała odruchy, domagające się alarmu: myśl o liście do Maryli. Kto wie, jakie jady umieścił w nim samobójca? Mogą one truć do końca życia. I oto dłoń Romana, jakby cudzą wolą kierowana, sięgnęła po zamkniętą kopertę, noszącą nazwisko drogiej mu kobiety, ukryła papier w przepastnej kieszeni munduru. Skupiony w sobie i pobladły z natężenia, skierował się ku wyjściu. Odprowadzały go zmrużone szklane oczy, mgliste spojrzenie zpod nasuniętych nieco powiek, spojrzenie z wysoka pogardliwe... Za drzwiami Roman odetchnął głęboko, zdjął czapkę i wytarł z czoła zimną rosę. Później szybkiemi kroki, walcząc z niedorzecznem wrażeniem, że trup skrada się za nim w ciemnym pustym korytarzu, pobiegł do telefonu, aby zawiadomić dowództwo o tem co odkrył. Miałkiem srebrem dzwoniły w ciszy ostrogi...

TADEUSZ ŁOPALEWSKI.

ALEKSANDER RYMKIEWICZ.

ŚLEPA ELEGJA

Mój dom porasta mech —
od rana wrzawa drobiu
i ludzkie szklane głosy
i studni lekki dech.
Stalowej piły gwizd obłoki leśne niosą
brzeziną, nizinną groblą.

Mój dom porasta mchem.
W listowiach białego ogrodu
żarliwy słowik budzi
źródło wiecznego zła.
Włosy i krew mi znaczą kropelki chłodu.
Parują mgły na rowach, jedyny jestem z ludzi.
Ptaki i popioły rozsypią się i ja.

Mój dom porasta mech,
stąd słyszę: bydło i konie
biją kopytem wodopój, człowiek zbudzony krzyczy.
Do boru stadko gołębi leci od siedmiu strzech,
nadrzeczna łaźnia dymem okręca komin wąsko.
I czas i rozpacz znikoma zostanie po nich
dziecinną piąstką.

Mój dom porasta mchem,
a białe noce jeszcze,
jak koła sypią rzekę —
jak młyny rześkim dniem.
Światło przeraźliwe, żałobne pienia leszczyn
chłodnym powiekom.

PRZEDOSTATNIE

Dłużą się górą kominy, wieje cieniami z altan,
dalej odchodzą mury, wzdychają aleje,
wiją się smugi jedwabne, spływają po palcach,
ciągną nad okna, płowieją w matowe spirale.

Czemu skradają się szepty? Zwiędłe motyle
lecą po bruku, chmury kołyszą kolumny.
Czemu spojrzenia mijając biją nawylot,
rzęsy trzepocą, sączy się ból nierozumny?

Pęd niewidzialny porywa chwile i liście,
słyszysz, jak śpiesznie suną sekundy nad tobą,
stygną poddasza, gasną rozety koliste
jasność z nad ziemi na zachód ulata, jak obłok.

Popiół osiada na ścianach, sypią się drzewa.
Jeszcze nie wierzysz? Zaułki cieniem porosły,
cisza w ulicach, jak piorun nad miastem nabrzmiewa.
Jeszcze nie wierzysz swojej słabości żałosnej?

Pełni się miara. Palce zaciśnij i patrz:
Otoś pozostał na brzegu, jak głaz obalony.
Dzień odszedł, na zakręcie ostatnie wagony.
Jeszcze czerwone światło. Ciemność. Pusto. Koniec.

WŚRÓD WILEŃSKICH KSIĄŻEK

Stanisław Stankiewicz. *Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej*, cz. I (do r. 1830). Wydawnictwa Towarzystwa Pomocy Naukowej im. E. i E. Wróblewskich, Wilno 1936, str. XII + 303.

Jednym z najbardziej znamiennych objawów przełomu, jaki dokonał się na początku XIX-go w. w kulturalnem życiu Polski, było żywe zainteresowanie prostym ludem wiejskim. Wypływało ono z kilku różnych źródeł: jedne pozostawały w związku z utratą niepodległości i wzrostem znaczenia szerokich mas włościańskich, inne natomiast wynikały z naczelnych haseł romantyzmu, wysuwającego postulat odświeżenia literatury za pomocą zapożyczeń z „pieśni gminnych" i tradycji ludowej. W badaniach literackich niejednokrotnie już próbowano zmierzyć siłę tych wpływów ludowych na twórczość epoki romantyzmu. Wystarczy przypomnieć tu prace Kolessy, Dropiowskiego, Kossowskiego, Jankowskiego, lub Augustajtisa, a przedewszystkiem obszerne studjum Stanisława Zdziarskiego p. t. *Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX w.* Rozprawy te jednak — bardzo różne, jeśli chodzi o poziom i wartość naukową — nie wyczerpały bynajmniej zagadnienia. Jedne — jak np. studjum Kolessy — poświęcone zostały twórczości poszczególnych poetów i nie kuszą się wcale o ujęcie całości zjawiska, inne natomiast — i do nich należy gruby tom Zdziarskiego — dziś już nie posiadają większej wartości naukowej, gdyż operują skąpym, nie zawsze autentycznym materjałem ludowym. Szczególnie dotkliwie dawał się we znaki brak studjum o wpływie folkloru białoruskiego. Toteż z tem większem zadowoleniem powitać należy rozprawę dr. St. Stankiewicza p. t. *Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej*, której część I, obejmująca twórczość do r. 1830, ukazała się niedawno w druku.

Poezje Mickiewicza stanowią — rzecz oczywista — trzon zagadnień, poruszanych w tej rozprawie, poświęca im autor więcej niż połowę swej książki. Na pierwszy ogień idą *Ballady i romanse*. Obfity materjał pieśni, podań i wierzeń ludowych, szczególnie typowych dla okolic Świtezi i Nowogródka, pozwala Stankiewiczowi na bardzo ciekawe, a nieraz zupełnie nowe oświetlenie takich utworów, jak *To lubię*, *Rybka*, lub *Kurhanek Maryli*. Mniej interesująco wypadły natomiast ustępy, poświęcone *Tukajowi*, *Pani Twardowskiej* i *Świteziance*. Wiele interesujących spostrzeżeń oraz cennego, nieznanego dotąd materjału zawiera także następny rozdział, poświęcony *Dziadom*. Nie wszystkie zagadki, tylekroć już intrygujące badaczy tego utworu, udało się autorowi rozwiązać w sposób całkowicie zadawalający, niemniej jednak niektóre wątpliwe lub niedostatecznie jasne sprawy *Dziadów* — takie np. jak zagadnienie winy i pokuty, lub geneza i rola Guślarza — wskutek umieszczenia na tle bogatego materjału ludowego zyskały wiele nowego i przekonywającego oświetlenia.

Prócz Mickiewicza omówiono tu także utwory innych poetów, związanych z terenem Nowogródczyzny i Wileńszczyzny. Po krótkim rozdziale wstępnym, ograniczającym się do najogólniejszych informacyj o ludowości i białoruskim regjonalizmie, znanych już z poprzednich opracowań tego zagadnienia, omawia Stankiewicz

kolejno twórczość poetycką Zana, Czeczota, Pietraszkiewicza i Łozińskiego, którzy stanowią niejako tło i punkt wyjścia do badań nad ludowością u Mickiewicza. Ostatnie rozdziały książki poświęcone zostały Odyńcowi, Al. Chodźce i dwu całkiem już zapomnianym rymopisom, Kułakowskiemu i Grott-Spasowskiemu. Na końcu poszczególnych ustępów, poświęconych twórczości wymienionych powyżej poetów, znajdują się zwykle uwagi o białorusycyzmach, występujących w ich stylu i języku i chociaż niektóre z tych spostrzeżeń wydają się nieco wątpliwe (np. wyraz „czysto" sprawia wrażenie raczej rusycyzmu, celowo włożonego przez Mickiewicza w usta takiej entuzjastki Petersburga jak Telimena, niż nieświadomego ulegania wpływom języka białoruskiego) — to jednak większość uwag przynosi wiele ciekawego materjału i gdyby autor nie rozproszył ich po całej rozprawie, miast ująć w jednolitą, powiązaną całość—stałyby się jednym z najciekawszych i najmocniej udokumentowanych rozdziałów książki.

W ogólnej charakterystyce książki należy przede wszystkim podkreślić pewną nierówność między poszczególnemi partjami pracy. Jedne z nich przynoszą istotnie dość sporo cennych uwag z zakresu wpływu literatury ludowej na twórczość poetów romantycznych, inne natomiast bądź to ograniczają się do powtórzenia wiadomości, znanych już nam z poprzednich opracowań, bądź też wysuwają wątpliwe, niedostatecznie umotywowane przypuszczenia, wykraczając niekiedy poza właściwy zakres tematu rozprawy. Najmocniejsze pozycje książki — to dwa środkowe rozdziały o *Balladach* i *Dziadach*, najsłabsze zaś — to ustępy, poświęcone poprzednikom, lub naśladowcom Mickiewicza. Zpośród nich wyróżnia się jedynie rozdział trzeci, opierający się w dużej mierze na niedrukowanych tekstach puścizny Czeczota.

Ta nierówność poziomu i wartości naukowej poszczególnych ustępów pracy wypływa w pewnym stopniu z nieodpowiedniego ugrupowania materjału. Stankiewicz omawia kolejno twórczość poszczególnych poetów, poświęcając oddzielne ustępy najdrobniejszym nawet poezjom, wskutek czego rozważania autora dotyczą nieraz utworów, w których pierwiastek ludowy występuje w postaci bardzo znikomej, lub zgoła problematycznej. W rozdziałach o Mickiewiczu postępowanie to jest w pewnej mierze usprawiedliwione: chodzi tu wszakże o utwory takie, jak *Romantyczność, Świtezianka,* czy *Powrót taty,* ale przy omawianiu całej plejady drugorzędnych poetów gra nie warta była świeczki. W dodatku brak końcowej syntezy, którąby powiązała ze sobą poszczególne rozdziały książki i nadała jej pewną perspektywę, sprawia, że rozważania autora nie wytwarzają plastycznego obrazu całości omawianego zjawiska. Błąd ten usunąć mogło jedynie zasadnicze przegrupowanie całego materiału. Wszakże ludowość może w różny sposób przejawiać się w twórczości literackiej i występować bądź to jako t e m a t utworów poetyckich, bądź to jako m a t e r j a ł, podlegający mniej lub bardziej dokładnemu opracowaniu literackiemu, bądź też jako czynnik, kształtujący k o m p o z y c j ę, s t y l i j ę z y k poezji. Ujęcie całego materiału według takich, czy też innych zagadnień z jednej strony ułatwiłoby syntetyczną charakterystykę wpływów białoruskich w twórczości Mickiewicza i jego towarzyszy, z drugiej zaś — pozwoliłoby na pominięcie szeregu zbędnych, nieistotnych szczegółów w omawianiu twórczości poszczególnych poetów, którą można byłoby scharakteryzować za pomocą analizy kilku najbardziej typowych przykładów.

Trudno też nie wyrazić wątpliwości, jeśli chodzi o podstawowe założenie książki p. Stankiewicza. Wprawdzie autor nie formułuje go nigdzie bodaj w formie

teoretycznego twierdzenia, w praktyce jednak stosuje je niejednokrotnie. Streszcza się ono w przypuszczeniu, że jeśli przy analizie tego, czy innego utworu Zana, Czeczota, lub Mickiewicza odnajdziemy kilka podobnych wersyj ludowych, z których jedne będą białoruskie, inne zaś — polskie, czy też ogólno-ludowe, to wolno jest mniemać, że utwór ten powstał przede wszystkim pod wpływem folkloru białoruskiego i odrzucić możliwość bezpośredniego oddziaływania wersyj pozostałych. To też książka Stankiewicza omawia nieraz utwory, które pozostają w bardzo dalekim związku z folklorem białoruskim i wskutek tego sprawia wrażenie rozprawy o pierwiastku ogólno-ludowym, a przecie — jak wskazuje tytuł pracy — nie to było jej zadaniem, ale zestawienie i scharakteryzowanie tych pierwiastków we wczesnej literaturze romantycznej, które bez żadnych zastrzeżeń i wątpliwości możnaby uznać za elementy typowe białoruskie.

Wszystko to jednak nie zmniejsza znaczenia książki Stankiewicza jako studjum, dokonanego ze świetną znajomością folkloru białoruskiego. Autor skrzętnie przewertował stosy najprzeróżniejszych zbiorów etnologicznych, pieczołowicie wynotował z nich wszystko, cokolwiek mogłoby się przydać do badań nad twórczością Mickiewicza i współczesnych mu poetów, dotarł do rzadkich, wyczerpanych edycyj i nieznanych, rękopiśmiennych tekstów. Co więcej: nie zaniedbał samodzielnych studjów w terenie, dzięki którym udało mu się ogromnie wzbogacić swe zbiory nowemi, nieznanemi dotąd wersjami, tem cenniejszemi, że pochodzącymi bezpośrednio z okolic Mickiewicza, Czeczota i innych. Wykorzystanie tego bogatego materjału porównawczego pozwoliło autorowi na całkiem nowe oświetlenie szeregu zagadnień, związanych z twórczością młodego Mickiewicza. Tak niektóre ballady i romanse, jak też pewne motywy i elementy literackie *Dziadów* ukazane tu zostały na tle nieznanych na ogół pieśni, podań i obyczajów ludowych, stając się jednocześnie wymowną ilustracją tendencyj folklorystycznych w polskiej poezji wczesnego romantyzmu.

CZ. ZGORZELSKI.

W. Sukiennicki: „*Marksowsko-leninowska teorja prawa*“ Wilno 1935. str. 16.

S. Truszkowski: „*Adwokatura radziecka*“ str. 8. odbitki z „Wil. Przegl. Prawniczego“.

Zachodzące w Rosji Sowieckiej od lat 19-tu nadzwyczaj ciekawe i charakterystyczne procesy przeobrażeniowe, jak dotąd w polskiej literaturze naukowej nie znajdują wszechstronnego i należytego omówienia. Pod tym względem Polskę, sąsiadującą z Rosją sowiecką, mającą najlepsze warunki przodownictwa, w dziedzinie literatury naukowej o wschodnim sąsiedzie — wyprzedzają Niemcy, Anglja, Francja, Stany Zjednoczone i szereg krajów pomniejszych.

Zdarzają się nawet takie curiosa, że czytelnik polski jest karmiony małowartościowemi przekładami z języka niemieckiego, francuskiego lub angielskiego. O ile chodzi natomiast o literaturę polską, to bardziej wartościowe prace o charakterze monograficznym można policzyć na palcach jednej ręki. Ale i te prace, jak np. prof. Czumy, K. Srokowskiego lub Teslara, są przestarzałe i dzisiaj już wobec tych zmian i przeobrażeń, jakie dokonały się w ostatnich latach w Rosji sowieckiej nie przedstawiają większej wartości. Jeszcze gorzej ma się sprawa z pracą dr. F. Korwina: „Podstawy ustrojowe Związku sowieckiego“, bardzo reklamowaną w r. 1933. Praca ta z jednej strony stanowi przedruk nadzwyczaj ciekawej pracy Srokowskie-

go „Elita bolszewicka“ oraz kompilację innych prac polskich i zagranicznych, z drugiej zaś luźne i nieskoordynowane impresje samego autora i w żadnej mierze nie daje nam monograficznego oraz naukowego opracowania podstaw ustrojowych Związku sowieckiego. Jest w niej coprawda kilka ciekawych i trafnych uwag dotyczących państwa sowieckiego, ale tem niemniej ma moc błędów i niedociągnięć. Pozatem i ona również już straciła na aktualności.

Mamy oprócz tego w wydaniu książkowem przedrukowane z „Gazety Polskiej“ korespondencje Otmara i kilka książek i broszur osób, opisujących wrażenia z pobytu w Rosji sowieckiej. Wszystko to jednak w żadnej mierze nie wypełnia dotkliwej luki jaką widzimy w polskiej literaturze specjalnej. Nic też dziwnego, że znajomość Rosji sowieckiej jest w Polsce minimalna. Tem należy tłumacyć najprzeróżniejsze bzdurstwa i głupstwa wypisywane w prasie codziennej rozmaitych odcieni o Rosji sowieckiej i zachodzących tam przeobrażeniach, wprowadzające w szkodliwy błąd całą opinję publiczną Polski.

Rrzecz oczywista, że również i broszur Sukiennickiego i Truszkowskiego, nie można uważać za jakiś nadzwyczajny dorobek, tem bardziej, że te broszury obejmują bardzo wąski odcinek z wydarzeń prawniczych. Tem niemniej należy podkreślić, że obie te broszurki wyróżniają się gruntownością i sumiennością.

Czytając Sukiennickiego „Marksowsko-leninowską teorję prawa“ dochodzi się do wniosku, że jej autora można uważać nietylko w Wilnie, ale bodajże i w Polsce za najlepszego znawcę zagadnień teoretyczno-prawnych w Rosji sowieckiej. W małej broszurce, bardzo zwięźle, skondensowanie, a jednocześnie nadzwyczaj przejrzyście, stawia on dość zawiłe zagadnienie marksowsko-leninowskiej teorji prawa, oraz dyskusje i spory, jakie się toczyły długie lata dookoła tego zagadnienia. Mimo jednak tych dyskusyj, mimo istniejących w Rosji sowieckiej „obcęgów myśli“ — to zagadnienie wywoływało do ostatnich czasów, — jak pisze na końcu swej broszury Sukiennicki „wśród autorów komunistycznych duże wątpliwości i różnice zdań“.

Od r. ub. te „wątpliwości i różnice zdań“ wychodzą już na jaw. Już jeden z najwybitniejszych prawników bolszewickich E. Paszukanis, w miesięczniku „Sowietskoje Gosudarstwo“ potępił i skrytykował swe dawne tezy. Bardzo byłoby pożądane, ażeby Sukiennicki, pomyślał już o drugiem uzupełnionem wydaniu swej broszury, w którem uwzględniłby również najnowszą ewolucję teoretycznej myśli prawniczej w Rosji sowieckiej. Jest to nadzwyczaj aktualne w związku z ogłoszeniem nowej konstytucji Związku radzieckiego.

Truszkowski, uczeń Sukiennickiego, zapoznaje nas nieco bliżej z adwokaturą sowiecką. Temat, jak widzimy, jest nadzwyczaj specjalny. Lecz z broszurką Truszkowskiego warto zapoznać się nietylko prawnikom, teoretykom i praktykom. Nie w mniejszej mierze może ona zainteresować również i „niespecjalistów“ tem bardziej że autor w zmieniającym się stosunku władzy sowieckiej do adwokatury, ujawnia dość ciekawą ewolucję polityczno-ustrojową całego Związku sowieckiego.

Pran.

W Y P A D Y

Co się stało z drugim tomem „Wilna i Ziemi Wileńskiej"? Takie pytanie zadaje w Nr 352 „Kurjera Wileńskiego" (Dn. 23.XII. ub. r.) Eugenjusz Gulczyński przytaczając następujące fakty:

Przy wydatnym poparciu ówczesnego wojewody, który zawsze doceniał znaczenie podobnych imprez, ukazał się w r. 1930 tom I-szy wydawnictwa, zatytułowanego „Wilno i Ziemia Wileńska", Wydawnictwa niewątpliwie jednego z najpiękniejszych, jakie nie tylko w Wilnie, ale wogóle w Polsce ukazało się w ostatnich czasach. Książka została wręcz entuzjastycznie przyjęta i mimo wysokiej ceny (35 zł.) była kupowana chętnie. Na jej piękną całość złożyła się i sztuka drukarska, wyborna szata graficzna, kosztowny papier, bogate instrukcje, i praca redaktorów i artykuły współpracowników. Ogłoszony razem z tomem I prospekt zapowiadał, że znajdujący się w druku tom II-gi wkrótce opuści prasę. Ten drugi i ostatni tom wydawnictwa miał się składać z dwóch działów: Nauki i sztuki i życia gospodarczego. Uniwersytet wileński, szkolnictwo, literatura, malarstwo, architektura, zabytki, sztuka ludowa, muzyka, teatr, drukarstwo, prasa oraz życie gospodarcze — oto tematy tomu drugiego.

Miał on, jak głosił prospekt, zobrazować wyczerpująco nasze życie naukowe i artystyczne, tudzież rozwój gospodarczy Wileńszczyzny w ciągu ostatnich lat dziesięciu w dziedzinie przebudowy ustroju agrarnego, wytwórczości, przemysłu i handlu, kredytu, spółdzielczości, komunikacji, odbudowy kraju i t. p. i t. d.

Jednocześnie „w celu uprzystępnienia wydawnictwa szerokim sferom czytelników" — wydawca ogłosił przedpłatę. Jakeśmy powiedzieli, książka — tom I szła, więc „szerokie sfery czytelników" chętnie wpłacały przedpłatę na tom II-gi, nie wątpiąc ani przez chwilę, że otrzymają zapowiedziany ciąg dalszy w najbliższym czasie, to znaczy może pod koniec roku 1930, lub najpóźniej na początku r. 1931. Tymczasem ten brak wątpliwości nie wyszedł na dobre tym, co lekkomyślnie wpłacili pieniądze. Bo minął rok 1930, przyszedł 1931 i też minął, nadszedł 1932, po nim 33, 4, 5, 6..., jesteśmy u progu roku 1937, a książki jak nie ma, tak nie ma. Siedmiu lat nie wystarczyło na jej wydrukowanie. Ileż w świecie, w kraju, nawet w Wilnie, cichym i nie bardzo podłem mieście, zaszło zmian...

Przez kilka lat nieszczęsna księgarnia, która miała nieostrożność zgodzić się na inkasowanie przedpłaty, zarzucana zrozumiałemi i niecierpliwemi pytaniami: „gdzie jest książka, za którą wzięliście pieniądze?" — tłumaczyła się jak umiała, odsyłając interpelantów do bliżej nieokreślonego wydawcy, którym jest—jak wskazuje napis na tomie I oraz prospekt na tom II — Wojewódzki Wileński Komitet Regjonalny. Ale kto w Komitecie zasiada, z kogo on się słada — nie wiadomo. Wiadomo było tylko tyle, że w swoim czasie całą akcją wydawniczą kierował pan radca Wiktor Piotrowicz. Od czasu jednak gdy, powołany do Warszawy, opuścił Wilno, sprawa ugrzęzła, zapomniana, przyhamowana, wstrzymana, przez kogo i z jakich powodów — nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że drukarnia, w której rozpo-

częto druk, dawno już przestała istnieć; że księgarnia (Św. Wojciecha) narażona została na liczne nieprzyjemności, a naiwni prenumeratorzy na straty materjalne.

Dalej, stało się wiadomem, że kilkanaście arkuszy drugiego tomu przed pięciu bodaj laty oddano do introligatora z zapowiedzią, że wkrótce zostanie dostarczona całość. Ale minęły lata, tomu nie skompletowano, a wydrukowany materjał zajmował rzemieślnikowi tylko miejsce, wobec czego introligator po bezskutecznym oczekiwaniu zmuszony był to wszystko przewieźć w takie miejsce, gdzie mogłoby spokojnie leżeć dalsze lata. Wtedy, trzebaż nieszczęścia, pękła tam rura kanalizacyjna i kilka arkuszy — jedni mówią całego nakładu, inni, że części — zalała woda. Zważmy, że wydawnictwo drukowane jest na kosztownym kredowym papierze...

W tymże składzie pleśnieje zwalone od lat, zgórą tysiąc egzemplarzy tomu pierszego. W księgarniach pobiera się wysoką cenę 35 zł. za egz., a jednocześnie pozwolono niszczeć w pleśni i wilgoci przeszło połowie nakładu, zamiast go rzucić na rynek i choćby w połowie rozsprzedać. Nikogo to nie obchodzi, nikt się tym nie interesuje.

Z tomem drugim podobno coś się tam zaczyna na nowo, podobno kontynuuje się dalszy ciąg druku. Po 7-miu latach! Oto na razie koniec smutnej opowieści...

Wolno jednak zapytać, jaką wartość będą posiadały prace pisane przed siedmiu laty, a omawiające sprawy ostatniego — podówczas — dziesięciolecia? Kto wynagrodzi moralną stratę autorom? Dobiegamy do końca drugiego dziesiątka lat. Ileż zmian zaszło w ciągu tych siedmiu lat w dziedzinie gospodarczej, szkolnictwie, nauki, etc. etc. Jakąż wartość przedstawiać będzie wydawnictwo, którego zdaniem miało być informowanie społeczeństwa Polski o postępie i rozwoju Ziemi Wileńskiej w różnych dziedzinach pracy? Co się dzieje z drugim tomem „Wilna i Ziemi Wileńskiej“? Kto jest za to wszystko odpowiedzialny?

„Sprawdźmy rachunki“ *)

Artykuł p. Szpakiewicza wydrukowany w „jedenastej pozycji“ „Frontu Teatralnego“ wymaga kilku wyjaśnień“.

Zacznę od siebie: jestem tym anonimowym autorem z „Anteny“. Doprawdy, teraz dopiero rozumiem w pełni zwrot „ze zdumieniem przecieramy oczy“. Więc notatka entuzjastyczna o przedstawieniu „Edypa“ „zaświntusza“ panu Szpakiewiczowi stosunki z ludźmi? Właśnie entuzjastyczny ton notatki, sprawił, że przeoczyłem kwestję podpisu. Był to artykuł prawie że reklamowy. Cóż więc tak wyprowadziło Pana Dyrektora z równowagi? Chyba nie pominięcie Jego nazwiska; o taką małostkowość Pana Szpakiewicza nie posądzam. Dlaczegoż więc to wymyślanie?

Żeby zakończyć tę sprawę, zaznaczyć muszę, że Redaktor „Frontu Teatralnego“ doskonale wiedział, kto jest autorem tej notatki. Pocóż więc ta zabawa w ciuciubabkę?

W „obrachunkach domowych“ razporaz dosyć niejasno mówi p. Szpakiewicz o jakiejś bliżej nieokreślonej grupie pięknoduchów, estetyzujących, wymądrzających się, „kulturyzujących“. Ponieważ nie lubię niedomówień, postaram się odgadnąć kogo to ma na myśli p. Dyrektor Teatru. Chyba chodzi tu o klub Teatralny. (Kol. Maśliński źle tu trafił z „Żagarami“).

---

*) Udzielając gościny artykułowi p. Byrskiego, redakcja „Śród“ stwierdza, ża artykuł ten nie powstał z jej inicjatywy.

Przedewszystkiem stan faktyczny: „Klub Teatralny" właściwie nie jest żadną organizacją. Kilkanaście osób, którym się zdaje, że się znają na teatrze, zbiera się dwa razy na miesiąc, omawiając zagadnienia czysto teoretyczne według zgóry precyzyjnie obmyślanego planu. P. Szpakiewicz ma pretensję, że się zajmujemy teatrem i tylko teatrem. No tak, w Klubie zajmujemy się tylko teatrem, bo tak sobie założyliśmy. Pozatem nasi członkowie zajmują się b. różnorodnemi sprawami.

Tak więc: jeden jest poetą! (A no tak)
„ jest historykiem
„ wychowuje dzieci
„ prowadzi szkołę rytmiki
dwóch mamy dziennikarzy
jeden prowadzi pracę oświatową w „Akcji Katolickiej"
jeden jest, pożal się Boże, urzędnikiem!

Poprostu, żeby czytelnika nie zanudzać, nie wyliczam wszystkich. Każdy coś tam robi, i od rana do wieczora myśli nie tylko o teatrze. A już chyba najmniej o teatrze na Pohulance. I „Klub" też teatrem p. Szpakiewicza zajmuje się minimalnie. Gdyby p. Dyrektor chodził na zebrania, o co Go prosiliśmy, to mógłby to stwierdzić sam. Ale nie chciał do „Klubu" należeć. Woli na niego wymyślać. Trudno, każdy wybiera sobie zajęcie według zamiłowań.

A teraz ocena sytuacji: jakie „klub" może mieć zadania? (Pomińmy sprawę, czy są tam ludzie kompetentni, czy nie, bo o to moglibyśmy się spierać przez dobę i nie doszlibyśmy do porozumienia). Jest to zadanie takie jakie spełnia powiedzmy laboratorjum w fabryce. Tam się ustala pewne wytyczne na podstawie teoretycznych obliczeń. Wytrawni, starzy, przedwojenni majstrzy, wzruszają pogardliwie ramionami. „Sztubaki! trzeba się dotknąć roboty. W książce nosem grzebać i cyferki stawiać, każdy potrafi". A przecież nie możemy sobie wyobrazić fabryki z rozmachem, któraby się bez laboratorjum obejść mogła. Gdyby p. Szpakiewicz uczestnictwem w „klubie" nie wzgardził, gdyby swoich kolegów co żywszych do współpracy zachęcił, mógłby stanąć na czele tej roboty. Podobno z pierwszego zebrania wyniósł jaknajlepsze wrażenia. Ale nie chciał i nie chce. My się nie martwimy, że nie mamy fabryki. Niema fabryki? — jest papier. A czy co kiedyś z tego będzie, to naprawdę Panie Dyrektorze, nie nam i nie Panu o tem sądzić!

Pod tym więc względem, niestety nie ustąpimy — będziemy się teatrem zajmować. Wiele innych spraw i z tych, które wymienia Pan Szpakiewicz, i z tych o których zapomniał — zostawiamy wielu innym ludziom, którzy chodzą po polskiej ziemi i chcą się w jakiejś pracy według swoich upodobań, wyżyć.

P. Szpakiewicz w swoich „Obrachunkach" miesza b. różne sprawy, wyszukuje zależności, tam gdzie ich wcale niema. W ujęciu P. Szpakiewicza wytwarza się jakaś potężna koalicja, która zaciska pętlę dookoła teatru. Coś nakształt masonów lub żydo-komuny. Bije więc P. Dyrektor na alarm, unosi się. I dlatego dyskusja jest utrudniona.

Postaram się coś nie coś wyłuskać.

Jest sprzeczność między tem co mówi p. Szpakiewicz na str. 3 polemizując z Dąbrowskim, a tem, co skierowuje do dr. Ordy na str. 6.

— Wynikałoby z tego, że aktorzy mają i kulturę, i wiedzę ogólną i teatralną, i wrodzoną, a zarazem tych „witamin A" nie mają. Czy nie należałoby raczej powiedzieć, że część ma, a część nie ma? I że czasem w niektórych teatrach, ta druga część jest większością? I wtedy jest źle. Mam wrażenie, że na obrażone poczucie

godności niema miejsca. To właśnie u nas najgorsze, że wymiana zdań zawsze musi wkońcu przypomnieć historję jednego podwórza.

Jestem z całem uznaniem dla postawy życiowej p. Szpakiewicza. Z wielu powiedzeń wynika, że są pozycje, które Mu się jasno rysują jako zdobyte; że są wartości, przed któremi p. Szpakiewicz bez wahania stawia znak plus lub minus. Jeżeli tak jest naprawdę, jeżeli to nie tylko feljetonowy zapał kazał p. Dyrektorowi napisać zdanie o „Maturze" i „Fraülein Doctor", to w takim razie myślę, że jakakolwiek, nawet najbardziej fachowa recenzja, jest niepotrzebna. Tembardziej, że zdania są tak różne, jak to zresztą sam autor na przykładach pokazuje.

Jedno mię tylko nastraja optymistycznie do tej całej „przygody". P. Dyrektor bardzo prędko umie spojrzeć na przeszłość od strony legendy. Jakże to pięknie, bojowo, heroicznie wygląda teraz „wyprawa toruńska"; jakimże czarem poezji owiane jest wspomnienie o współpracy z Arturową Górską A przecież nie wszystko było takie miłe i zgrabne; pamiętają przecież niektórzy z tych „zapaleńców i zatraceńców" jak to tam „ongiś bywało!"

Widzę już, jak to za 15 lat, p. Szpakiewicz, dyrektor teatru w Baranowiczach lub Pińsku (to będą wtedy duże miasta) w 100-nej pozycji jakiegoś „Frontu Teatralnego" będzie informował miejscowych profanów jak to w r. 1936 w Wilnie miało się czas, żeby się kłócić o teatr, o spojrzenie na teatr!

Może tylko jednego będzie żałował: że jak mówi Jerzy Wyszomirski, nie umiał się „pięknie różnić", tylko wpadł w wymyślanie, w brzydkie słowa. Szkoda.

TADEUSZ BYRSKI.

PS. Mógłbym jeszcze wykorzystać ostatnie posunięcie teatru — „Maika". Ale byłoby to włażeniem na zbyt pochyłe drzewo. Interesują mię wyczyny bardziej sportowe.

Następny numer „Śród" będzie w zasadzie poświęcony Aleksandrowi Puszkinowi, w związku z setną rocznicą jego śmierci, przypadającą w lutym (dn. 10-go) bież. roku, pozatem będzie zawierał szereg artykułów, omawiających życie naukowe i artystyczne Wilna w roku ubiegłym. Dlatego też w numerze obecnym poza kroniką białoruską i litewską, nie rejestrujemy wydarzeń życia kulturalnego w interesującym nas regjonie.

Kronika litewska.

W r. 1936 świat malarski Litwy obchodził kilka rocznic.

A. Żmuidzinawiczius.

A. Żmuidzinawiczius urodził się w r. 1876 w Sejnach. Malarstwo studjował w Polsce, Francji i w Niemczech. W r. 1904 poraz pierwszy wystawił swoje obrazy w Warszawie. Obecnie jest lektorem w Szkole Sztuk Pięknych w Kownie.

Zasłużył się A. Żmuidzinawiczus przy organizowaniu w Wilnie pierwszej wystawy sztuki litewskiej w r. 1906. W r. 1907 tworzy razem z M. K. Czurlonisem „Lietuviu Dailes Draugija" (Litewskie Towarzystwo Sztuki), które to do wybuchu Wojny Światowej urządziło 8 wystaw w Wilnie, 2 w Kownie i 1 w Rydze. Po śmierci M. K. Czurlonisa A. Żmuidzinawiczus wyszukuje i zbiera jego obrazy, czem przyczynia się do założenia znanej Galerji M. K. Czerlonisa w Kownie. A. Żmuidzinawiczus pierwszy zwrócił uwagę na sztukę ludową i jest jej najgorętszym propagatorem i zbieraczem.

J. Vienożinskis.

J. Vienożinskis urodzony w r. 1886, gimnazjum skończył w Moskwie. Za czynny udział w rewolucji 1905 r. i wykonywanie poruczeń Wielkiego Sejmu Wileńskiego zostaje skazany na 3 lata twierdzy. Po odbyciu kary ucieka do Austrji. W Krakowie J. Vienożinskis wstępuje do Akademji Sztuk Pięknych. W tym czasie jest pilnym słuchaczem Axentowiecza, Weissa i Pankiewicza i pięciokrotnie zdobywa konkursową nagrodę Akademji.

Po Wojnie Światowej J. Vienożinskis organizuje w Wilnie kursa rysunkowe, które po przeniesieniu do Kowna i przeorganizowaniu dają początek Szkole Sztuk Pięknych. J. Vienożinskis inicjatywą i pracą przyczynił się do zcementowania wszystkich twórczych sił litewskiego świata artystycznego.

Związek Dziennikarzy.

Do Syndykatu Dziennikarzy w r. 1936 należało przeszło 70 osób. Niedawno odbyło się walne zebranie. Wybrano Zarząd następ.: A. Gricius, V. Kemeżys V. Alantas-Jakszewiczius, A. Gerutis, prof. J. Tomaszaitis, A. Dedele, S. Aleksandraviczus, P. Razma i J. Paleckis.

W r. 1936 w Litwie, bez okręgu Klajpedzkiego, wychodziło 146 pism perjodycznych: 119 w języku litewskim, 13 żydowskim, 7 rosyjskim, 4 polskim i po 1 w hebrajskim, niemieckim i esperanto. Ze 146 pism było 16 dzienników, 1 trzy razy w tygodniu, 2 dwa razy w tygodniu, 35 tygodników, 21 dwutygodników, 47 miesięczników, 6 co dwa miesiące i t. d. W Kownie wychodziło 122 pisma, w Poniewieżu, Birżach, Jeziorasach i Marjampolu po 3 i t. d.

Litewskie Towarzystwo Stuki i Literatury w Wilnie wybrało na rok 1937 Zarząd w następ. składzie: prezes ks. dr. A. Viskontas, zastęp. przewodn. — R. Mackieviczius, sekretarz — H. Cycenas, skarbnik — A. Miciute, bibljotekarz — J. Kanopka.

Zebrania L. T-wa Sztuki i Literatury odbywają się co dwa tygodnie. (h.c.)

Kronika białoruska.

„Biełaruski Letapis".

Pod takim tytułem wychodzi obecnie w Wilnie ilustrowane czasopismo miesięczne, poświęcone literaturze i życiu kulturalno-społecznem u B iałorusinów W odróżnieniu od kwartalnika literackiego „Kałośsie", „Letapis" jest przeznaczony nietylko dla inteligencji, lecz również dla półinteligencji, tak licznej dzisiaj na wsi białoruskiej, a także dla szerszych warstw włościańskich. Wśród dzisiejszych wydawnictw i publikacyj białoruskich, wyróżnia się „Letapis" bardzo dodatnio zarówno pod względem jakości i doboru zamieszczonych utworów literackich i artykułów, jak również pod względem nieprzeciętnego poziomu techniki wydawniczej.

„Zachwarbawanyja wierszy" — nowy zbiorek poezyj Teodora Iljaszewicza.

W grudniu ub. roku ukazał się pod powyższym tytułem skolei trzeci zbiorek poezyj znanego poety białoruskiego—Teodora Iljaszewicza, zawierający około trzydziestu wierszy. Zbiorek ten jest niewątpliwie ważnem zjawiskiem w twórczości Iljaszewicza, gdyż zamieszczone w nim utwory — posiadają wysoki poziom artystyczny, dość szczęśliwe operowanie nowoczesną formą wiersza i — co ważniejsze — indywidualny, odrębny od innych poetów, styl autora. Warto w końcu nadmienić, że Iljaszewicz zajmuje w dzisiejszej literaturze białoruskiej zupełnie odrębne stanowisko, gdyż w odróżnieniu od innych poetów i pisarzy, tkwiących w tematyce wiejskiej, jest on niemal wyłącznie piewcą miasta. (s.s.)